

PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 36 (205)

WARSZAWA

9 WRZEŚNIA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TRZEŚĆ

JÓZEF WEYSSENHOFF — WENERA CONTRA CHMIELNICKI I TUHAJ-BEJ
OLGIERD GÓRKA — SIENKIEWICZ A ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA (II)
KAROL IRZYKOWSKI — PRZEMIANY ALTRUIZMU
JAN ALEKSANDER KRÓL — LEKTURA UŁATWIWIONA
KONKURS „PIONU”

ALFRED ŁASZOWSKI

PEN-COOK

I. Wstęp

Tutaj sprzedają karnety. W sekretariacie za brązowym stołem istny Pen-Cook, kultura na kartki, sto atrakcji, cały tydzień w bloku. Za jedne czterysta franków, za walutę, która spada z dnia na dzień, za inflację i dewaluację, za deficyt Republiki Francuskiej turyści błogosławią kraj. Budzimy się co dzień bogatsi, nasz złoty idzie w górę! Gelda, gelda! Koniunktura w kolorze czerwonym! Kiedy nadzieje rosną, prospekt przypina skrzydła!

Czarne kościoły na lśniących kartach papieru, a wszystko sprasowane ściśle, rzekłbyś „renesans i gotyk w tabletkach”. Sama esencja, ekstrakt, wzór. Cywilizacja dla turystów. Historia w pedzie, historia z okien autokaru, powtórka, syntetyczny skrót. Bo jutro może być za późno. Świat zdaje maturo, wojna wisi w powietrzu, nie wiadomo z czego będziemy jutro pytani. A może by tak na wszelki wypadek „przygotować” Rewolucję francuską? Modny temat aktualny, wszyscy „powtarzają”, tylko Rosja ma nowe wydanie, tylko Rosja już umie na pamięć.

Czternastego lipca rewia sil, manewry uliczne, egzamin. Zrobili mały strajk, siedzą w kawiarni, przed tarasem policja w hełmach szturmowych. Zakład gastronomiczny właśnie przerwał pracę, kelnerzy wybiegli przed dom. Mają ochotę przetrzepać kolegów z naprzeciwnika, dlatego pijemy kawę pod eskortą. Wesolo jest, spokojnie, bagnety, wino, śpiew.

Marsylianka na przemian z Międzynarodówką, proletariatusze wszystkich krajów łączcie się.

Wieczór, a rano jedziemy do Rouen.

II. „Filozofia komunikacji”

W przedziale rozmowa o komunikacji. Pociąg zniekształca przestrzeń. Daje perspektywę dwustronną zamiast kręgu kół. Krajobrazy! Ktoś odwraca się od nich ze wstrętem. Wolają oburzeni: dlaczego nie chcesz patrzeć?

Młody człowiek jest wrogiem kolei. Uznaje tylko podróz powietrzną. Twierdzi, że samolot oszczędza mu zbędnych widoków. Pozwala objąć całość. Mam dosyć pejzazów w pamięci. Mogę sobie zawsze wyobrazić piękniejszy od tego, który jest przede mną. Panie są oburzone. Facet broni się. Mówi pół żartem, pół serio, wreszcie zdejmuję kurtkę, zaczyna coś tłumaczyć, wstaje, — będzie mówka, czekamy:

Sieć komunikacji rośnie. Punkty węzłowe zbliżają się do siebie. W końcu na świecie każda kropka będzie przesyta linią. Połączymy wszystkie odległości. Już dzisiaj człowiek pokrzyżował świat, wytopił nowe kierunki i promienie. Demon ruchu wtar-

gnie do mieszkań i ludność zamieszka na stacjach. Wielkie miasto odkrywa nam istotę dążeń naszych. Metropolia pokonuje odległość. Technika życia zmierza do zacieśnienia węzłów komunikacyjnych, a różnice między narodami rosną. Opetala nas konieczność ich kulturowania. Dlaczego nikt dotąd nie napisał filozofii miasta? A może taka książka istnieje. Jest coś przerażającego w tym, że ciągle musimy pokonywać dale, które między nami rosną. Syzyfowy mit nabiera w tych warunkach szczególnej wymowy. Wystarczy przestać rozumieć, aby ruch nabral sensu metafizycznego. Myślenie w kategoriach przyczyny i celu zabija wiele cennych wrzuceń... Trzeba na chwilę odrzucić utylitarny punkt widzenia, dojrzeć w mieście perpetuum mobile, wizję szaleńców i maniaków. Jakże olbrzymi aparat stworzono do walki z przestrzenią! Wszystkie drogi muszą się w końcu gdzieś przeciąć, zapłacić, powikłać. Kto zna światowy rozkład jazdy, może go pewnego dnia zapomnieć. Puści wszystkie maszyny na siebie, niechże się spotkają.

Czyżby wzajemna wymiana usług mogła bez reszty wytłumaczyć fenomen ruchu miejskiego? Trudno uwierzyć. Bo wszelka celowość jest postulowana. Przyjmujemy jej istnienie jako pewnik, nie biorąc pod uwagę wyjątków, które zakłócają „harmonię układu”. Wiadomo, że w każdym społeczeństwie pewna liczba osób żyje wbrew logice i zasadom zdrowego rozsądku. Bezrobocie powiększyło ich liczbę setkrotnie. Czynności praktyczne wypełniają zaledwie drobną część dnia, reszta pozostaje nie zorganizowana. Dowolność góruje nad momentami utylitarnymi. Pomiedzy „szprychy wielkiego mechanizmu” dostaje się tłum wyjęty spod prawa przyczyny i celu, ślepa siła na usługach przypadków indywidualnych. Któż ją zdola obliczyć, przewidzieć i pojąć!

Dawano niedwuznacznie do poznania, że młody człowiek ma uderzenia na tle komunikacji, że mu Paryż uderzył na mózg i popsuł „centrale”. Ale on nie dał się zbić z tropu, kreśląc palcem po szybie, tłumaczył. Niech sobie państwo wyobrażą noc, noc absolutną, taką, jakiej nigdy nie ma w dużym mieście. Cisza, spokój, pustka, powiedzmy sobie alarm gazowy, ludzie siedzą w domach — ich ślady, ślady pieszych, narazicie mogą żyć swobodnie. Miliony dróg zaczyna błyskać, drzeć, fosforyzować. Każda linia ma inny odcień, znajduję swój graficzny wykres dnia i nagle objawia mi się ogólna struktura poruszeń, bukiet kierunków, labirynt, klebowisko, wir.

W sumie chaos, mimo że poszczególne nici biegają wedle logicznych założeń. Wiem, gdzie jest ich koniec, lecz nie zawsze mogę pojąć, ku czemu zmierzają. Oszołamia mnie irracjonalny absurd tego faktu. Jakiś więc fragmenty są ściśle zdeterminowane, a

całość robi wrażenie klebowiska pozbawionego więzi organicznej? Poczucie „dziwności istnienia” przybiera na sile. Ale idźmy dalej. Hość ludzi, z którymi wiążą nas takie czy inne sprawy życiowe, jest stosunkowo dość nikła. Dopiero poza tą granicą uświadamiamy sobie tajemnicę współżycia milionów. Nie znamy się wzajemnie, choć otacza nas ta sama rzeczywistość. Czy można szukać zjednoczenia w świecie rzeczy? Wspólny widok to jeszcze za mało.

Ludzie patrzą po sobie z uśmiechem. Nowe wiecenie Wellsa nie traci ferworu.

Na przykład, proszę państwa, podróż. Punkt, z którego patrzymy, narzuca swoje kategorie. Dyktuje perspektywę fałszywą i obłądną. Zniekształca dynamiczny pejzaż. W stosunku do linii, jaką wyznacza pęd, przedział „jest ustawiony” poziomo, dygotczy i drga bez związku z narastającym konturem odległości. Przestrzeń jest łożyskiem ruchu. Szybkość zmienia proporcje układu odniesienia. Narzędzie komunikacji musi przypominać formę, którą ona nadaje otaczającemu światu. Odpowiednikiem elipsy będzie więc konstrukcja aerodynamiczna. Przedziały powinny biec wzdłuż, nie wszędy — to jest postulat natury estetycznej.

Kto spogląda przed siebie, widzi przynajmniej pół okręgu koła. Rosnący pęd zaostża lukę horyzontu, aż wreszcie...

III

Ktoś przerwał. Jesteśmy już na miejscu, w katedrze. Gotycka pointa dialogu, architektoniczny finał. W międzyczasie złośliwa uwaga: Żeby zaspokoić swój „zmysł jednolitości”, musiałby pan podróżować po morzu w akwarium, zawierającym komplet flory i fauny miejscowej. W drodze powrotnej każemy zrobić z wagonu oranżerię, a ściany obłożyć darnią. Utożsamienie z tłem wymaga zastosowania tych samych jakości. Bądźmy konsekwentni. Zapada cięsza.

Z jakich pragnień wyniknął ów kształt doskonaly? Trudno o tym nie myśleć. Psychologizm w zastosowaniu do architektury — coż może być bardziej anachronicznego? A jednak pytania powstają w nas bez względu na to, czy są metodycznie słuszne i uzasadnione. Wyobraźnia zmusza do snucia hipotez. Ostrołuk jest stałym elementem narzędzi pierwotnych. Przypomina torpedy, pociski, zeppelin, miotacze, stąd tyle potencjalnej zdolności do lotu w tych murach strzelistych. Jak najmniejszy opór i jak największa siła wybuchu, ekstazy. Każda mistyka ma w sobie tradycję walk i zmagania. Królestwo niebieskie gwałt cierpi — oto wieża prująca firmament. Gotyk, czyli pęd zaklęty w kamieniu. Dwie żywe wieże ciśnienia, nie ustający szturm do niebios, lot który porywa i ogłusza jak grom, jak loskot

gromów. Teraz dopiero rozumiem Przybosisia wiersz *Notre Dame*. Architektura ucieleśnienia imperializm liryczny. Zdobywcość na gruncie metafizyki, agresję w skali kosmicznej.

Autokar wiezie nas do St Wandville. Staro opactwo, musująca zieleń, wina w piwnicach bulgocą. Snujemy analogie. Ktoś przypomniał klasztor „wykuty” w skałe na gotyckim urwisku, na szczytach iglicy wśród przepaści, gdzie domy zwisają pochyło wbrew prawom równowagi i oczywistości. Podobno część zakonników całe życie spędziła w podziemiach. Grube mury napierają zewsząd, sufit tłoczy, przygniata, grób zamurowanych żywcem jak gdybyś czuł ciśnienie podchodzących ścian. Objętość kurczy się, zamyka, kazamaty dławia! Przypominam sobie, jak pierwszy raz zeszedłem do metra z myślą o naszych współczesnych katakumbach szybkości. Paryż jest podminowany pędem. Pęd łączy dno wielkiego miasta we wszystkich kierunkach. Ruch założony u podstaw istnienia! Korytarze, kruzganki, tunele. Wiercą dziury w materii na przestrzał! Co to będzie, jak materia utraci integralność? Zrywamy połączenia ziemskie, aby pustą przestrzeń powiązać. Od wieków ludzie uchodzili w podziemia dla wspólnej modlitwy albo konspiracji. Teraz szybkość pogrąży ich, spycha do głębi, każe przyszywać największe ciemności. Coraz nam bliżej do miejsc, gdzie już pozostaniemy zawsze, gdy statyka zwycięży a czas przepali organizm. Człowiek współczesny spoufalil się ze śmiercią, działając w jej rejonach. Zdobywamy dla życia nowe strefy, pociąg pędzą wzdłuż grobów, pociągi burzą cmentarze. Żalobna krepa pęka, Prometeusz z płonącym łontem rozsądza śmiertelne skały.

A może by tak zwiedzić wioskę St Malo w Bretanii? Miejscowy proboszcz rzeźbił głazy na spółkę z Oceanem. Potworne maski, ciała ludzi zbudzonych z letargu. Morze opluwa te straszne płaskorzeźby, ślini białą pianą, weina się głęboko, szarpie linie wybrzeża. Ksiądz wziął udział w pracy żywiołu, chciał zostać „korektorem ślepych sił”, nadać każdej formie charakter skończony, zatrzeć granicę między naturą a dziełami sztuki. Ocean poprzestaje na rysach i konturach rzeczy. Projektów swoich nie wykańcza. Tkwią one zawsze w osoczu materii nieukształtowanej. Stąd też przyroda skał bretońskich budzi w nas „nienasyconie formą”. Pragniemy wziąć dłuto do ręki, zrealizować jego plany i szkice, doprowadzić do końca to co się zaczęło. A może właśnie w tym dążeniu błądzimy. Bo kto wie, czy „potencjalna uroda przedmiotów” nie działa silniej od doskonałości, której już nie można ująć ani dodać. Piękno musi pobudzać do działania, w przeciwnym razie drażni zamiast dać ujęcie pasji konstrukcyjnej... Ów proboszcz

W1003 / 26/668

nocami wykulał kształt swoich przerażeń. Maski egipskie, babilońskie, asyryjskie, oblicza demonów i księżąt ciemności. Ostre nuryt jak dłuta wderzały się w burzę, a on pomagał im wzebrać.

Gdy mowa o klasztorze St Michel warto przypomnieć uroki wynikające z jego położenia. W momencie przypływu skała jest oblana morzem. Rano żywioł cofa się na 18 kilometrów w głąb i odsłania łacną piaszczystą, ziemię niczyją, grunt podmianywanym nurtami rzek podziemnych. Raz ktoś niecałkiem na komu przed falą, szum, galop i cwał, kopyta w piasku grzęzną a woda coraz bliżej, ścigają go półwyspy białych pian, potoki, gwałtowne strumienie. Jeździec przez morze splewany utonął na drugi dzień; cęntaura złowiono w mokrym piasku. W załkach klasztornych mistyczny zapach wina. Stęchlizny stuleci nie porwie żaden prąd, chociaż przeciągi krążankami gonią. Gorący ferment próchna i kwasu. Mnich każdy chodził tu jak nurek po dnie morza, w obręczy ciężkich sklepień, w krzyżownicy ciśnienia napierającego. To architektura zmniejsza w człowieku poczucie objętości własnej. Jakże krucho są członki w obliczu kamieni naznaczonych chwałą. Czas się budowlę nie ima, a dom nasz bluźni prawom przemijania.

Wracamy. W Rouen zginęła dziewczica Orleańska, w Rouen otrula się pani Bóvary. Przykieliszku wita nas mię miasta.

Czterdziestolatki balzakowskie

Jeden dobry bankiet... Kolumny, marmury, czerwien, polysk długich stołów. Złota sala iskry się od blasku. Siedzą wśród obcych ludzi. Rozmawiają o źródłach twórczości. Dosty szkolne, posłuchajmy jednak. To mówi młoda dziewczyna. Brawuruje. chce przekora porwać sąsiadów. Pisarze w epokach gwałtu i przemocy na każdym kroku afiszują się ze swoją miłością do człowieka. A wcale nie wiadomo, czy miłość spoczywa u podstawy naszych działań. Wiadomo, że u każdego jest inaczej, ale — skoro już trudno uniknąć ogólników w związku z tym tematem — próbujmy bronić stanowiska mniej popularnego. Twórczość powstaje pod wpływem nienawiści do świata, twórczość nie jest ezlachetna. Najwięksi pisarze unikali afirmacji charakterów dodatnich. Trzeba skompromitować przedmiot swych uwielbień, aby dać świadectwo prawdziwe. Jedno uczucie nigdy nie odsłania nam natury ludzkiej. Należy doznawać człowieka przez przytaczanie nastrojów diametralnie sprzecznych. Dopiero wtedy ujawnia się jego istota.

Proszę patrzeć jak się zabawnie złożyło! Po obu stronach stołu siedzą dwa rodzaje kobiet. Wśród młodych zwraca uwagę pani Jules Romains, brunetka w niebieskiej sukni o pięknie wykrojonych, długich i wąskich oczach. Te oczy są złe, ironiczne, pełne irytacji i sarkazmu. Właśnie obserwuje czterdziestolatki siedzące naprzeciwko. Spróbujmy podążyć za jej wzrokiem, odczytać diagnozę, sąd, wyrok. Panie! Puchną ze zmęczenia, ale żadne nie opuści ani jednej atrakcji. To są właśnie zawodowe „kongresówki”. Delegaci się zmieniają, prezesów szlag trafia, a one rok w rok jak amen w pacierzu.

Czy te panie, co siedzą naprzeciwko, można zaliczyć do rządu pisarek?

Ależ nie podobnego! — powiada starszy pan. — To są, no jakby panu powiedzieli: statystyki ruchów kulturalnych, najgorszy rodzaj snobizmu, koncert półinteligencji. Patrząc na nie, rozumiem istotny sens malceństwa. Kobieta czterdziestolatka, która nie jest żoną, sprawia wrażenie starej panny, choćby miała nie wiem ile romansów w przeszłości.

Wspominam ostatnią książkę Montherlanta. Zarzucają mu forsowanie autobiografii. Słychać głos sprzeciwu. Okradanie pamiętnika? Kłamstwo. Nie pisze się o kobietach kochanych, bo miłość sama jest twórczością, jest cyklem sekretów i tajemnic. Żyje tylko w ukryciu przed światem. Powszechna zgoda, więc wszyscy wznoszą toast na intencję ścisłej dyskrecji. Przy końcu stołu siedzi wspaniały okaz, bokser, trener, facet z grubą ciosaną, przy tym na pewno pisarz. Zaraz obok — frenetyczna pani starsza: wiadomo co to jest: rozkoszny kiedokodnik zabawia go, zachęca. Chłopak siedzi ponury, grymasi, pryca jak koń i typie oczami na jakąś młódkę trzy miejsca w lewo, front. Dziewczyna w towarzystwie mamy krztusi się ze śmiechu. Teraz czterdziestolatki balzakowskie opuszczają salę. Za nimi woń rozprężonego wapna, kwas węglowy.

P e n - C o o k

Trzydniowa wycieczka nad Loarę przekonała nas, że Bedeckerowy schemat poznawania świata dojrzał do tego aby go odrzucić. Jeśli kiedykolwiek będziecie pełnili funkcję gospodarzy kongresu, weźcie pod uwagę rzecz elementarną. Wrażliwość i chłonność pisarza ma swoje granice. Nie można jej bezkarnie stepiać, ani bombardować nadmiarem szczegółów historycznych, bo to w końcu staje się nudne, męczące i szkolne. Po dwóch dniach jazdy autokarem od zamku do zamku prawie wszyscy mówili: za dużo tego dobrego. Przemęczenie percepcji — tak można określić stan, w jakim znajdowała się większość uczestników. Przeszliśmy po prostu reagować. Po salach snuła się gromada ludzi ogłuszonych, sennych. Bierność i apatia w obliczu nagromadzonego cudów kultury, świetna nauka dla ludzi, którzy przeciętnie strunę. Jestem stanowczo przeciwny tej metodzie zwiedzania, uważam ją za barbarzyński przeżytek, zrodzony na gruncie snobizmu nowobogackich półinteligentów.

PP Bedecker i Cook zapomnieli o rzeczy bardzo prostej. Nie wystarczy spotrzeć, aby móc doznawać. Żeby wejść w kontakt z przedmiotem kontemplacji, trzeba mieć po temu odpowiednie warunki. Warunki w jakich publiczność europejska zwiedza obce kraje, przećca elementarnym zasadom komfortu duchowego. Spróbujmy to rozważyć na żywym przykładzie: Wokół kipi młoda zielen, leca pola wzburzone od pędu, na zakrętach Byrrh lub Dubonnet. Człowiek zwalca w sobie nastroj odświętne, chce uchwylić rytm życia maleńkiej prowincji, zapada w jej codzienność, zaczyna się rozsmakowywać, a tu zamek jeden, drugi, trzeci — wszystkie właściwie podobne, tylko otoczenie ratuje ich wdzięki. Nieustannie pomieszanie elementów jakościowo różnych.

Francja stoczona czerwienią rewolucji, kraj wielkich buntów, żywioł przemian, i na-

gle ta cywilizacja dla turystów — nieszczerła i monumentalna. Park, ruiny, akwedukty, śniedź, patyna, stęchlizna. Być może uchwycić tonację otoczenia, muszę być sam, mieć trochę czasu, — nie spieszyć się, nie lecieć, nie słyszeć przewodnika recytującego stereotypową powtórkę z historii renesansu.

Znamy to: kultura na amerykański gust, kultura w pigułkach i tabletkach, esencja, ekstrakt, owiec. Spęd owiec. Popychają z przodu i z tyłu, ciągle ktoś przechodzi, znajomi robią uwagi, każdy próbuje narzucić swój „nastrój”, opinię za trzy grosze, komentarz, spontaniczny banal.

Niczego nie można swobodnie przemysleć i zaopiniować. Dziennikarki trzępią jak najęte. Chodzi im o uprzedzenie wszystkich możliwych opinii i sądów. Ich zdanie musi być pierwsze. Odbywa się konwencjonalna licytacja wartości, leca, trociny komunalów, jazgot nie ustaje. Tu wrażenia idą od razu na pytel. Irytująca bezpośredniość święci tryumf przed każdym obrazem. Mówi ten, kto nie ma nic do powiedzenia. Prawdziwi pisarze milczą. Ich reakcję trzeba dopiero odczytać. Poczucie odpowiedzialności za słowo w obliczu zjawisk kulturalnych — oto pierwsza cecha artysty. Lecz my zwiedzamy świat w amerykańskim tempie: przedko, przedko, bo auta czekają, z daleka słychać ryk klaksonu. Typowa salata turystyczna! Jak najwięcej w jak najkrótszym czasie.

Przepraszam. Cywilizacja nie jest sklepem towarów lokciowych. Jej dzieła trzeba przyswajać w małych dawkach, powoli, stopniowo, spokojnie. Tylko skończony nuworisz przyswaja sobie dorobek stuleci w pięć minut. Nie potem nie wie i nie nie pamięta, ale może imponować ilością obiektów. A przecież o to chodzi! Zamki nad Loarą... wiadomo: klasyczna trasa francuskiej podróży posłubnej. Jedzie mydlarz ze swoją bogdaną i chwali się, że widział dziesięć pałaców. Statystyczne traktowanie kultury dowodzi zawsze jej braku. Można zrozumieć snobizm u filistrów, drobnomieszczanstwo ma gorsze narowy, ale żeby gromada pisarzy konsumowała dzieła sztuki na funty i tonny aż do zupełnego ogłuszenia, dzień w dzień, — to dowodzi złego smaku organizatorów. Trzeba ludziom dać możliwość wyboru. Nie każdy chce wszystko zobaczyć. Snobistyczna żądza wszystkości pociąga za sobą przesyta, nuda, zmęczenie, — słowem, groch z kapustą, kociokwik psychiczny. Po powrocie do Paryża mój wstręt do muzeów nabrał charakteru manii prześladowczej.

Obrzydono nam zwiedzanie na czas bardzo długi. Rozumiem dobre chęci organizatorów, doceniam ich gościnność, wykazali jak najlepszą wolę i zupełny brak zmysłu selekcyjnego. Swoiście pojęty maksymalizm dał rezultaty jak najfatalniejsze. Jeżeli się urządza wycieczkę dla pisarzy, trzeba zerwać z szablonem Bedeckera i podzielić ich na grupy wedle gustów indywidualnych. Chęć poznać tylko to, co sam uznaj za stosowne. Nie życzyć sobie, aby mi ktoś z góry wyznaczył trasę, biegnącą wśród samych cudów świata. Trochę brzydoty nie zawadzi. Wolę zobaczyć dwie rzeczy i przeżyć je do głębi, niż wykazać się całym katalogiem „zabytków”.

Nasza apercpeja wymaga specjalnej pieczołowitości. Człowiek współczesny instynktownie unika nadmiaru doznań optycznych.

Poznanie wymaga czasu, spokoju, kontemplacji, a przede wszystkim samotności twórczej. Pędzenie w kieracie terminów jest absurdem. Lepiej zrezygnować z dziesięciu obiektów na korzyść jednego arcydzieła. Wycieczka — owszem, ale tylko w gronie głuchoniemych. Z sześcioboczną gromadą za żadne skarby świata. Nasze pokolenie zdola na pewno zreformować system konsumpcji dóbr kulturalnych. Każdy weźmie sobie „jadłospis stuleci” i pójdzie tam, gdzie będzie chciał. Kolektywna latania po mieście niszczy wszelką radość podróży. Pozwólcie nam nie zwiedzać. Między poznaniem a zwiedzaniem nie ma znaku równania. Jeden z młodych pisarzy twierdził, że muzea nastroją nas na ton fałszywy. Wychodząc z nich, nie możemy odnaleźć żywego Paryża. Zaslania go kopuła Panteonu i Luwru i biuro Cooka.

Co nam zostało z tych dni? Pseudoklasyczny ożród. Zielenka geometria, kubistyczne trawniki, fontanny, altanka obronności różami; brak tylko baranków i peruk. Ujarzmiona przyroda, zieleni w formach skończonych. Idylla. Śiąść i szczytać. Trawniki zbiegają do rzek znieuchomiomych w słońcu. Woda czarna jak portret hiszpański. Siedziba Anatola France'a: Dom wiejski — po naszymu dworek — wewnątrz antkwarnia. Obrazy, rzeźby, pamiątki, dużo książek, pióra gęsie w kubku — ani śladu żywego człowieka. Nawet pamięć po nim umarła.

Muzeum w pięknym ogrodzie, muzeum w cieniu wiaźów. Siedziby zapalonych zbieraczy mają to do siebie, że właściciel nie może w nich nigdy dojść do głosu. Za życia trudno, po śmierci rzeczy mówią o sobie zamiast mówić o nim. Mieszaniuta stylów, epok i czasów, cocktail kulturalny. To straszne. Współczesność nie może się wyrazić. Psychika człowieka klóci się i ściera z otoczeniem. Sprzęty mogą być ładne, nie oddają jednak naszych potrzeb duchowych. Zamiast palenia książek wprawdźlibym palenie brzydkich mebli po przedkach. Zanadto szanujemy stare graty, secesyjną tandetę, rokokowy wykręt i inne reumatyzmy stuleci.

Zwiedzaliśmy jeszcze winnice w stromych grotach wapiennych pod ziemią. Katakumby Dionizosa, beczki, butelki, tłocznie, ciemność fermentujących woni, labirynt szampański. Ścieżka porywa w górę, zieleni kipi na zboczach, szumią krzewy wezbrane od wiatru. Pijemy. Właściciel kropi mowę: lokucje pieniądze w winnicach. Wino nie może zawieść, alkohol jest wieczny, dodaje wigoru panom, wzmagą urodę pań. Tworzystwo w ryk, czterdziestolatki zachwycone: jaki miłutki satyr, faun, cóż kiedy auto czeka.

A te wieczory w Tours! Jedni do kawiarni, a drudzy nad rzekę. Krzaki, latarnie, bulwary, perspektywa w głąb. Mieszkałiśmy w ładnym hotelu. O 12-tej wśród ścian korytarzy przemycali się kobiety lepkie od kremów. Usłyszałem fragment rozmowy: Królowie francuscy budowali zamki dla faworyt, żeby teraz stare faworyty miały co oglądać. To chyba dowcip pani Jules Romains. W ostatnim dniu pokazała nam swoją siedzibę. Rano było przyjęcie. Ujrzyliśmy dom, w którym powstają Ludzie dobrej woli. Tacy właśnie mają zwykle najostrejszy język.

ALFRED ŁASZOWSKI

OLGIERD GÓRKA

HENRYK SIENKIEWICZ

SIENKIEWICZ A ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA

II

Encyklopedia Powszechna źródłem informacyjnym i orientacyjnym H. Sienkiewicza

Jednym z najbardziej udanych i najcenniejszych dzieł zbiorowej pracy polskiej z drugiej połowy XIX wieku jest *Encyklopedia Powszechna*, wydana w 28 tomach przez księgarń S. Orgelbranda w latach 1859 — 1868.

Wydawnictwo to skupiło szereg wybitnych uczonych ówczesnej Polski, co prawda niestety głównie z ówczesnego świata „Kongresówki”, dając w rezultacie dzieło reprezentujące zasób wiadomości, którymi dysponował ówczesny polski intelekt. Dzieło to cieszy się w całych dziejach polskiej umysłowości najwyższym uznaniem i to niewątpliwie zastrzeżenie ze względu na poziom i wartość, oczywiście na swego cza-

cały szereg operat jest o specjalne badania historyczne, niestety nawet archiwalne, przy czym artykuły te przynoszą wyjątkową wprost ilość najrozmaitszych szczegółów do polskiej przeszłości. Jak dalece praca J. Bartoszewicza w Encyklopedii Powszechnej cieszyła się poważaniem u polskich historyków, może służyć za dowód uwaga M. Bobrzyńskiego, który artykuły J. Bartoszewicza i M. Sobieszcańskiego w Encyklopedii Powszechnej, jako zawierające „całą historię polską” zalicza do najwybitniejszych dzieł „szkoly lelewelskiej” naszej historiografii (*Dzieje Polski* wyd. IV, t. I, str. 15). To przytoczenie sądu Bobrzyńskiego wystarczająco ilustruje brak przygotowania tych wszystkich, którzy wymienienie Encyklopedii wśród źródeł decydujących o sądach Sienkiewicza, uważali za jakąś złośliwość lub chęć pomniejszenia. Po prostu bowiem ci wszyscy przygodni krytycy, zajmujący się tą kwestią, nie w ogóle nie dzielili o roli Encyklopedii Powszechnej w

Pod tym względem pierwsza Encyklopedia Powszechna Orgelbranda bije wszystkie inne następne wydawnictwa tego typu, nawet tego samego wydawnictwa. Słusznie też niedawno temu prof. St. Kętrzyński zaliczył jeszcze obecnie, „choćby przestarzała”, Encyklopedię Orgelbranda do książek, które powinny wchodzić w skład „biblioteki podręcznej historyka polskiego” (*Nova Książka*, IV, 1937, str. 117). Encyklopedią bowiem Orgelbranda do czasu rozpoczęcia wydawnictwa *Słownika Biograficznego* przez naszą Akademię Umiejętności zastępowała, a nieraz jeszcze po dziś dzień zastępuje brakującą nam szybką orientację biograficzną o wybitnych postaciach dawnej Polski.

Jednym z najważniejszych, czy najważniejszych współpracowników tejże Encyklopedii był znany całej Polsce historyk Julian Bartoszewicz, który niezależnie od 11 tomów pośmiertnego wydania swych pism itd., umieścił w samej-że tylko Encyklopedii Orgelbranda 1921 artykułów, z których

życiu umysłowym Polski z drugiej połowy XIX wieku.

Zwłaszcza zaś dla ówczesnego życia intelektualnego Warszawy była Encyklopedia walnym źródłem informacyjnym. Szczególną wagę oczywiście należy przykładać do artykułów Bartoszewicza, który nie tylko był najbardziej swego czasu wziętym w Warszawie historykiem, ale także przez pewien czas nauczycielem H. Sienkiewicza. Nie mamy wprawdzie takich relacji o stosunku Sienkiewicza, jako ucznia, do Juliana Bartoszewicza, jak np. w odniesieniu do jego nauczyciela Wojciecha Grochowskiego, gdyż w ogóle ten stosunek nie był dotychczas opracowywany, a niewątpliwie znalazłyby się jeszcze do tego materiały wspomnień. W każdym razie, zawdzięczamy za zawsze bogatemu w informacje F. Hościakowi nie tylko wiadomość o tym, że Julian Bartoszewicz uczył Sienkiewicza w VI klasie gimnazjalnej, że „bronił go żarliwie” (*Sienkiewicz i Wyspiański*, Warszawa 1918,

str. 131), ale nawet, że obniżył mu poprzednie celujące stopnie z polskiej historii na dostateczne (o. c. 132). Z późniejszych uwag wynika, że ten stosunek, czy raczej wpływ intelektualny J. Bartoszewicza na młodocianego Sienkiewicza musiał być znacznie głębszy. Jakkolwiek bowiem Bartoszewicz, zmarły w r. 1870, w okresie, gdy Sienkiewicz oddał się psychicznie od „bohaterów-liliputów”, już nie działał, to niemniej całość jego krańcowych poglądów na Kozaczyznę i Jeremiego Wiśniowieckiego oddziaływała nadal wszechstronnie przez artykuły Encyklopedii, a sama jego rola, jako historyka, została właśnie zaktualizowana dla świata warszawskiego przez zbiorowe wydanie jego pism w latach 1877 do 1882.

Przed omówieniem jednak intelektualnego wpływu historycznych poglądów J. Bartoszewicza na Henryka Sienkiewicza w latach 1882/3, celem udowodnienia, że Encyklopedia była obok Kubali decydująca dla jego sądów o XVII wieku i sprawie kozackiej, muszę poruszyć stosunek H. Sienkiewicza do samej Encyklopedii Powszechnej, jako do swego źródła inspirującego, orientującego i informującego. Stało się to konieczne wobec faktu, że mimo upływu przeszło 50 lat i istnienia blisko 250 rozpraw o twórczości i metodach pracy H. Sienkiewicza, nikt tej tak ciekawej i ważnej obserwacji dotychczas nie dokonał, a nawet nie umiano w ciągu kilku lat wyzyskać udzielonej przeze mnie w tym kierunku wskazówki. Oczywiście będąc zajęty całym szeregiem innych prac, nie mam zamiaru opracowywania tych kwestii i wyczerpania całego zagadnienia: Sienkiewicz a *Encyklopedia powszechna*. Ponownie, choć obszerniej, rzucam w artykule tylko pewne punkty obserwacyjne w nadziei, że przyszłe i poważne i metodyczne studia nad twórczością naszego największego powieściopisarza moje uwagi i wskazania rozbudują.

Znana jest wszystkim badaczom Sienkiewicza uwaga — raczej złośliwa — A. Świętochowskiego o nadzwyczajnym orientowaniu się od młodości przyczynę wielkiego powieściopisarza w herbach polskich. Ciekawe jest więc stwierdzenie, że Sienkiewicz, który w latach przed powstaniem „Trylogii” ciągle szperał po ksiązkach za herbami, nie tyle w sensie badań heraldyczno-genealogicznych dla celów naukowych, ile dla swej osobistej orientacji w sprawach ukołowanej przez siebie szlachty polskiej, — wręcz przed wszystkim, czy może nawet wyłącznie, herby polskie w Encyklopedii Powszechnej Orgelbranda. To szperanie za herbami stało się podstawą faktu, dotychczas w naszych badaniach historyczno-literackich nie zauważonego, że z tego to źródła brał Sienkiewicz niektórych swoich bohaterów. Tak więc w tych poszukiwaniach natknął się Sienkiewicz na herb Kurcz (Encykl. Powsz. t. XIV, str. 473) i tam znalazł informację, że Kurcewicz „zwali się też niekiedy Bulyhami i rozdzielił się na dwie linie, z których jedna stała siedzibą w swym gnieździe na Wołyniu, druga na Litwie się przeniosła. Zdaje się, że pochodzili z Rurykowiczów, chociaż się od Koryjata wywodzą”. Tę notatkę J. Bleszyńskiego z Encyklopedii powtórzył nawet z bardzo pokrewnymi wyrażeniami Sienkiewicz w wstępie do rozdziału IV *Ogniem i mieczem* w słowach: „Kurcewicz-Bulyhowie był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryata wywodził, a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu” (wyd. Ossoliński, I, str. 34), po czym począł już komponować fabułę powieściową o zadanierzącej linii Kurcewiczów i oju bohaterki Heleny.

Nie jest moim zadaniem przeprowadzanie szczegółowego zbadania stosunku Sienkiewicza do Encyklopedii Powszechnej, jako źródła inspiracyjnego, i wykazywanie najrozsławniejszych zbieżności (zwłaszcza przy sprawach kozackich), wypływających z rozszyfrowania się w tym najbardziej ówczesnym wziętym źródle informacyjnym. Niewątpliwie jednak zainteresuje moich czytelników fakt, że ta sama historia, co z zaczerpnięciem rodziny Kurcewiczów z Encyklopedii Powszechnej, powtórzyła się potem przy bohaterze *Potopu* — Kmicciu, który, jak powszechnie wiadomo, wywodzi się z danych o Samuelu Kmicciu. Mianowicie, znowu w czasie szukania za herbami w Encyklopedii, natrafił Sienkiewicz na herb Kmicie (Encykl. Powsz. t. XIV, str. 888) i tam znalazł notatkę następującą: „Kmicie (Samuel), synowiec poprzedzającego (scilicet Mikołaja jezuitę, poety łacubskiego), chorąży orszański, starosta krasnosieński, jeden ze znakomych pułkowników, słynny z talentu i odwagi w zawodzie rycerskim, najchlubniejszych zasług jego daje świadectwo Konstytucja z roku 1670”. Ponownie ta notatka K. Wójcickiego, w połączeniu ze wskazówką z dobrze mu znanej *Księgi Pamiętniczej* J. Michałowskiego (Kraków, 1864, str. 766) o konfederacji Kmicciu,

wrogu Janusza Radziwiłła, dała Sienkiewiczowi zarys postaci bohatera *Potopu*, chorążego orszańskiego Kmicieca, z tym, że powieściopisarz imię jego Samuel, bardzo częste w magnackich, czy większych domach szlacheckich, zmodyfikował według upodobań nowszej sarmatyzny na Andrzeja. Ponownie nie jest moim zadaniem omawianie na tym miejscu tych wszystkich innych elementów, względnie wzianek (Pasek), analogii, odgłosów, które się złożyły w Sienkiewicza na postać bohatera *Potopu*, jak np. Jakuba Kmicieca, Pokłońskiego i t. d. Sądzę, że raczej wystarczy przypomnieć moją poprzednią uwagę, a mianowicie, że wpływ na psychiczne formowanie tej postaci powieściowej miała w Sienkiewicza również osoba Jana Sobieskiego, dowodzącego przelotnie oddziałem tatarskim, a znanego ze swego politycznego „nawrócenia się” w r. 1556. Nie da się bowiem utrzymać przypuszczenie p. dr Juliusza Kijasa, wypowiedziane w jego nowej pracy p. t. *Źródła historyczne „Potopu” Sienkiewicza* (Prace historyczno-literackie ku czci Ign. Chrzanowskiego i odb. Kraków 1936, str. 5) o zaczerpnięciu postaci Kmicieca z herbarza Niesieckiego. P. dr Kijasa przeoczył widocznie mą wzmiankę o Encyklopedii Powszechnej, skoro kontynuując swą tak pożyteczną pracę stwarzania rzeczowej podbudowy dla przyszłej metodycznej monografii Sienkiewicza, nie zabrał tego właśnie źródła informacji Sienkiewicza, chociaż zwrócenie uwagi na Encyklopedię byłoby mu zaoszczędziło sporą część pracy nad wyszukiwaniem źródeł, z których czerpał swe dane fabularne autor *Potopu*. Sienkiewicz o Samuelu Kmicciu (który zresztą występuje w dokumentach tego czasu np. jako podpisany ze strony polskiej na kapitulaacji Rakoczego) — wiedział tylko to, co podawała Encyklopedia wraz z wzmianką o konstytucjach r. 1670, podczas gdy Niesiecki w wydaniu J. Bobrowicza wspomina jego brata Jana, a zwłaszcza podaje dodatkową wiadomość o późniejszej godności Kmicieca jako strażnika w ks. litewskiego (V, 122). Sienkiewicz, ograniczający się w tej sprawie do informacji Encyklopedii Powszechnej, szczegółów tego nie znał, gdyż inaczej byłby go przytoczył w zamknięciu powieści, gdy opowiada o finale życiowym Kmicieca, jako starosty „powszechnym szankunkiem otoczonego” (wyd. Ossol. III, 278).

Omówiłem zaś obszerniej ten moment notatki, z której się zrodził Kmicie z *Potopu*, by zwrócić uwagę, że wszelkie sądy o źródłach i fabule *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu*, wypowiedziane bez uwzględnienia Encyklopedii Powszechnej Orgelbranda, będą wymagały uzupełnień i zmian. Odnosi się tu uwaga również do przypuszczenia p. dr Kijasa o braniu nazwisk szlacheckich przez Sienkiewicza z Niesieckiego (o. l. 32). Tymczasem Butrymowicz, Kulwiecie występujący w Encyklopedii, nazwa Laudanicy (nigdy w Sienkiewicza Laudanicy) pochodzi od rzeki i porzeczka, a inne z ogólnej znajomości nazwisk szlacheckich. Gdyby bowiem Sienkiewicz był zaglądał do Niesieckiego, jak przyjmuje to dr Kijasa, — to dowiedziałby się, że nazwał Syruciem „pachofka” do koni Wołodyjowskiego w Laudzie (wyd. Ossol. I, str. 84), podczas gdy jeden z Syruciów z wieku XVII pisał się nie mniej więcej tylko „Syruć na Lawdzie” (Niesiecki. VIII. 391). Naprowadzam przykładowo te szczególności, by podkreślić, jak łatwo zmylił ślady źródeł fabularnych, jeśli dla oceny źródeł powieściopisarza nie bierze się pod uwagę względnie najprostszą drogi orientacyjnej, obok słusznych praw artysty komponowania swej treści i swych postaci.

Pozostając jednak przy zagadnieniu Sienkiewiczowskich bohaterów, chciałbym — zresztą wychodząc poza krąg mych obecnych tematów — zwrócić uwagę, że łączność inspiracyjno-informacyjna Encyklopedii Powszechnej da się wykazać w pewnych wypadkach nawet dla tych późniejszych okresów twórczości Sienkiewicza (1895 — 1900), kiedy to, jak zwłaszcza w *Krzyżakach*, operuje już zupełnie innym zakresem przygotowania, niż przy początkach *Ogniem*

i *mieczem*, a najwybitniejsi uczeni ówczesnej Polski czuli się szczęśliwi, jeśli mogli służyć wielkiemu powieściopisarzowi informacjami i szczegółami. Ciekawe jest bowiem niezaprzeczenie, że w tym okresie już całkiem innych metod pracy Sienkiewicza odnajdziemy cały rzut postaci Petroniusza z *Quo vadis* właśnie w Encyklopedii Powszechnej (t. XX, str. 610/11). Ten zarys postaci Petroniusza z Encyklopedii powszechnej, jako epikurejczyka, arbitra elegantiarum, który w momencie otwarcia sobie żył w Cumae posyła swój list-pamflet Neronowi, to jakby ostatnie echo tych tak rozlicznych inspiracji i informacji zaczerpniętych — oczywiście znacznie dawniej — z Encyklopedii Orgelbranda, które odnajdziemy w twórczości Sienkiewicza.

Rzucam zresztą na tym miejscu tylko pewne uwagi i wskazówki dla tych, którzy kiedyś zechcą metodycznie studiować genezę postaci Sienkiewiczowskich. Powróćmy bowiem do tych dwóch pierwszych powieści, jak i szeregów w nich zawartych, które się potem złożyły na całość t. zw. „Trylogii”. Można by zaś takie studium przeprowadzić systematycznie, poczynając już od pierwszej sceny *Ogniem i mieczem*, gdyż np. przedstawienie się Chmielnickiego Skrzetuskiemu jako „Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem” (wyd. Ossol. I, str. 6) jest wprost wzięte z artykułu J. Bartoszewicza o Bohdanie Chmielnickim („Zenobijusz” z herbem „Abdank z krzyżykiem”, t. V, str. 358/9). Znajdą wówczas ci badacze zagadnienia: Sienkiewicz a Encyklopedia Powszechna Orgelbranda, zarówno szereg momentów, które Sienkiewicz brał z tejże Encyklopedii, jak też skonstatują, że na wypadek spotkania innych informacji lub pojęcia swej pomysłowości powieściopisarskiej w innym kierunku odchodził Sienkiewicz od wskazówek Encyklopedii Powszechnej, np. przy śmierci Barabasza, opisie Żółtych Wód w *Ogniem i mieczem* i t. d. i t. d. Najczęściej miało to miejsce pod wpływem *Kroniki Welyczy*, którą Sienkiewicz uważał za pierwszorzędne współczesne źródło kozackie pochodzenia, czego nie można mu brać za złe, skoro w 50 lat potem moi rozmaitości polemicy popielitali ten sam błąd w stosunku do tej apokryficznej kompilacji. Niezależnie jednak od tych różnic i podobieństw, można często stwierdzić, że jeśli znajdujemy tu i ówdzie w Sienkiewicza bardzo szczegółowe wiadomości, nawet z dziedzin tak mało przystępnych, jak sprawy tatarskie lub jakieś momenty z życia Sicz, — np. w rozdziale IX *Ogniem i mieczem*, jako opis narady u „kantarzeja” wojskowego Sicz, o przedmiocie Hasan-Baazy i t. d., — to będą to odgłosy, zresztą przetwarzane, wertowania najrozmaitszych informacji zawartych w Encyklopedii Powszechnej. Obserwacja ta znajduje szerokie zastosowanie zwłaszcza dla pierwszych części *Ogniem i mieczem*.

Znacznie jednak ważniejszą rolę, niż dostarczenie postaci bohaterów powieści i szczegółów informacyjnych lub fabularnych, odegrała Encyklopedia Powszechna Orgelbranda w twórczości Sienkiewicza, jako jego podstawowe źródło orientacji bibliograficznej dla dzieł XVII wieku. Encyklopedia ta bowiem stanowiła dla lat powstawania *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu* jedyną, szybką a naukową możliwość zorientowania się, co dotychczas o danej kwestii historycznej ogłoszono. Bibliografii historii polskiej jeszcze nie mieliśmy, a to, co surogaty z tego zakresu przynosiły, nie mogło się mierzyć z bogactwem i dostępnością takiej „księgi bibliograficznej” jak informacje Encyklopedii. Jest więc rzeczą zupełnie naturalną, że Sienkiewicz, przystępując np. do zbierania materiałów do *Potopu*, przede wszystkim wynotowywał do swej lektury książki podane w takich artykułach Encyklopedii, jak *Jan Kazimierz*, *Maryja Ludwika*, *Janusz* i *Bogusław Radziwiłłowie*, *Stefan Czarniecki*, *Częstochowa* i t. d. i t. d. i w ten sposób osiągał względnie zresztą tylko orientację o wydanych źródłach i o pracach autora z czasów *Potopu*. Nie-

wątpliwie, jako człowiek, który od czasów sukcesów w toku pisania *Ogniem i mieczem* stał w środku zainteresowań intelektualnych, a zwłaszcza historyczno-literackich całej Polski, otrzymał Sienkiewicz szereg uzupełniających informacji bibliograficznych, niemniej zbadanie jego źródeł przy pisaniu *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu* wskazuje dobitnie na to, że niemal wyłącznie orientację bibliograficzną — oczywiście poza głównymi, właśnie wydanymi nowościami — stanowiła dla niego Encyklopedia Orgelbranda. Z tego to powodu wspominałem, że przy pomocy Encyklopedii Orgelbranda byłby sobie dr Kijasa zaoszczędził większość pracy i poszukiwań, gdyż bez rozszyfrowania się w treści, bez zestawiania tekstów można już na podstawie informacji bibliograficznych Encyklopedii ustalić, jakie opracowania i materiały mogły być znane Sienkiewiczowi dla spraw, które go interesowały ze względu na planowane, lub pisane powieści, co zresztą odnosi się głównie do dwóch pierwszych z późniejszych „Trylogii”. Byłby wtenczas Kijasa zauważył, że ogromna przewaga, czy niemal wyłączność, materiałów Sienkiewicza do tych dwóch powieści, to publikacje sprzed roku 1868, tj. sprzed daty zamknięcia wydawnictwa Encyklopedii, a nie sprzed roku tworzenia, t. j. 1883, względnie 1886. Co więcej, Sienkiewicz szeregu, bezpośrednio odnoszących się do *Potopu*, polskich publikacji z lat 1870 — 1885 (por np. choćby u E. Maliszewskiego: *Bibliografia Pamiętników Polskich*. Warszawa 1928, str. 46—54) nie uwzględnił. Powód tego objawu prosty, tj. brak tak dogodnego informatora bibliograficznego jakim mu była Encyklopedia dla lat do 1868.

W zakresie informacji Encyklopedii Powszechnej i w sposobie podawania wskazań przez tę publikację leży wreszcie odpowiedź na najciekawszą, a dotychczas w ogóle nie postawioną kwestię z zakresu źródeł Sienkiewicza przy pisaniu *Potopu*. Otóż Sienkiewicz, który — za wskazówkami Encyklopedii Orgelbranda — korzystał np. dla spraw Bogusława Radziwiłła, obelżenia Częstochowy z mało znaczących monografii, zapomniałych druków itp., — nie znał, a przynajmniej, jak można stwierdzić, nie wyszukał w *Potopie* tego źródła, które w ogóle wśród źródeł historyograficznych jest najważniejsze dla spraw i czasów *Potopu*, t. j. okazałych tomów S. Pufendorf: *De rebus a Carolo Gustavo... gestis* (Norymberg 1696). Jakkolwiek bowiem p. dr Kijasa zalicza to dzieło do grupy źródeł, czy materiałów, co do których „nie można jednak mieć pewności, że właśnie z nich, a nie skądinąd czerpał swe wiadomości autor „Trylogii” (o. c. str. 3 i 4), to jednak muszę stwierdzić, że wszystko to na wskazuje, że Sienkiewicz z tego najcenniejszego źródła do wojen Jana Kazimierza z Karolem Gustawem nie korzystał. Pufendorf zawiera cały szereg takich szczegółów, — jak np. o księżkach na Żmudzi i Litwie, którzy na czele chłopów walczyli ze Szwedami w r. 1656, o zgonie na polu bitwy pod Szawłami jednego z tych księży, itd. itd., — które byłyby Sienkiewicz niewątpliwie wyszukał dla swej fabuły powieściowej, gdyby je znał. Dla odmiany zaś źródła wszystkich informacji historycznych *Potopu* dają się ustalić bez uciekania się do wiadomości Pufendorf. Odpowiedź na ten zastawiający fakt uwzględnienia przez Sienkiewicza z jednej strony źródeł nawet podrzędnego znaczenia, a z drugiej pominięcia najważniejszego, — daje ponownie Encyklopedia Powszechna. Pufendorf figuruje wprawdzie w Encyklopedii Powszechnej pod swym nazwiskiem, jako uczonego prawnik i pisarz historyczny, ale nie jest ani on, ani jego dzieło wymienione przy żadnym z ustępów (nawet przy dziejach Karola Gustawa), w których mógł ewentualnie Sienkiewicz spodziewać się i szukać wskazówek rzeczowych i bibliograficznych dla epoki, o której miał zamiar, względnie już pisał powieść.

Rzucam na tym miejscu tych parę uwag o sposobach pracy i źródłach powieści Sienkiewiczowskich lat 1883—6, nie tylko by wskazać drogi poszukiwań, ale zarazem jeszcze raz podkreślić fakt, podnoszony swego czasu przeze mnie, a potem przez J. Kaden-Bandrowskiego, że jesteśmy jeszcze bardzo daleko od metodycznego opracowania twórczości naszego największego powieściopisarza.

Ten zaś stan rzeczy najdobitniej uwiódca się w dotychczasowym braku informacji w Sienkiewiczowskiej literaturze o wpływie historycznego stanowiska Juliana Bartoszewicza na sądy H. Sienkiewicza o Polsee z połowy wieku XVII.¹

OLGIERD GÓRKA

¹ W pierwszym artykule p. t. *Henryk Sienkiewicz a „Encyklopedia Powszechna”* (por. *Pion*, nr. 35, z dnia 2 b. m.) wkraśl się na str. 2, szpalta 4, wiersz 28 od góry, błąd drukarski, a mianowicie data ukończenia studiów historycznych przez H. Sienkiewicza została podana jako 1872, a nie 1870 jak być powinno.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

WYJAZD WNUKA

Okadzali brzożowym dymem konie. Spod żółtych ich koców wiatr w brzezince strzępił grzywy i kapuły rude świece. Smugami lubinu zapachniały siwe leje, siano ladowali na karoce.

Stanęła za stogiem nocą trumienka pieśni pastuszej w stercie liści, gdzie — kuny, a w izbie pili rum. W izdebce łyżnik jak flet klapkami łyżek rusza, lipowe łyżki zmieniały okna na lipę ciemnego szumu much.

Aż poniósł mnie ranek i chłodna, bukowa wieś i dal — Dokąd uciekasz, kraju mój, od zielonych półkoszów? Jeszcze złotem spóźnionego sadu upominała jak żal babusia, żółta zapaskę ślim mi niosąc do wozu.

JAN ALEKSANDER KRÓL

LEKTURA UŁATWIONA

I

Niezapisany stan służby¹ Stanisława Wasylewskiego wywodzi się z górnictwa, a nie z dziennikarstwa. Modnym i popularnym uczynił go u nas Boy. Jego *Znasz-li ten kraj*, czy *Lorentowicza Spojrzenie wstecz* oparte są na tym samym schemacie: literat spisuje plotki, anegdoty i ciekawostki biograficzne, dotyczące współczesnych mu literatów. Książka Wasylewskiego różni się od francuskiego pierwowzoru tylko rodzajem — nie jest dziennikiem, lecz pamiętnikiem. Autor wspomina pisarzy, poetów, dziennikarzy, aktorów i polityków, których znał czy widział w przedwojennym Lwowie. Toteż poza osobą narratorki poszczególne rozdziały łączą w całość wspólny teren, szerszy — Galicja, węższy — Lwów, a także — wspólny czas. W ten sposób, eksploatując łatwo własne wspomnienia, igra pisarz z niepomiernie trudniejszym i wyższym zadaniem. Nasuwa się mu bowiem jako nadrzędny temat: *monografia literackiego Lwowa przedwojennego*, otwierająca perspektywę na tło minionej epoki. Taką sytuacją jest pełna dynamika: autor musi się zdecydować. A dokonując wyboru, z góry wyznacza skalę swego wysiłku twórczego. W podtytułach książki Wasylewskiego można by umieścić zdanie: „to, co pamiętam, napisane stylem, który znać i podziwiać”. Autor więc zdecydował się. Inna rzecz, że mógłby się zdecydować inaczej. Skrzętnie, na gorąco, robione zapiski Goncourtów były świadomie traktowane przez autorów jako surowy materiał do przyszłych biografii. Gdy się jednak pisze nie dziennik, ale pamiętnik, spojrzeć wstecz nie powinno ograniczać się do wspominkarskich realiów, obowiązujące wtedy syntetyczne ujęcie materiału, a nadto problematyzacja, do której prowokuje i posiadany materiał i odpowiedni dystans czasu. Wasylewski nie jest pierwszym, a zapewne i nie ostatnim autorem, który uchyla się od zadań wyższego rzędu, do jakich zobowiązuje ten rodzaj literacki.

Było by jednak nierozsądnym lekceważyć „zapiski”, skoro pisarz nie potrafił, czy nie chciał dać monografii. W książce Wasylewskiego wypada nam kontentować się w pierwszym rzędzie samym materiałem, w drugim zaś — majstersztykiem narracji. Co prawda materiały są w różnym gatunku, nie rzadko nawet — fikcyjne, gdy np. autor poświęca cały rozdział opisowi Askenazego... wertykalnego „zadziwiająco szybko” konwolucyjnego, lub gdy o Pawlikowskim tyle ma tylko do powiedzenia, że pan z Medyki był u niego w redakcji oznajmił, iż obejmuje teatr. Z podobnych fragmentów widać, że konsekwencją „ulatwionego” typu goncourtowskiego jest — dziennikarskie efekciarstwo mówienia o niczym. Literacko konsekwencja to — paradoksalna: znika konkretny materiał, miejsce jego zajmuje „bujanie”; społecznie — niepokoja. Czytelnik bowiem, który jak ćma ciągnie do wielkich nazwisk, złudzony fałszywym blaskiem, staje się entuzjastycznym miłośnikiem... blachostek. (Nawiasem mówiąc, czytelników takiego chowu mamy dziś w Polsce bardzo wielu). Są to oczywiście cienie na *Niezapisanym stanie służby*, ale nie brak też światła. Czytamy o babce autora, która w sztabach przechowywała listki z grobów naszych bohaterów narodowych, a na swej pensji wprowadzała rewolucyjny program, bo obok „sztuk pięknych” przyrodę, historię i t. p. nauki. Czytamy o wystawie lwowskiej, gdzie pokazywano pierwsze cuda elektryczności: tęcza fontanne i tramwaj. Ach, jakże nie odczuć tej przeszłości, upamiętnionej postaciami tak rzetelnymi, jak Łoziński, redaktor *Gazety Lwowskiej*, jak Czapełki, Jowisz na Krakowskim Przedmieściu w latach 1875—1885 — był to Lwów z epoki Gołuchowskiego.

Nadeszły czasy nowe. Najmłodsze pokolenie czyta na ławie szkolnej świeżo wydane *Szybyłowe prace* i zazdrości kongresowiackim kolegom „obfitości rzeczy zakazanych i przynusów walki”. Pustka i duszność egzystencji w cesarsko-królewskiej Galicji jakże jest obca dramatycznej sytuacji za kordonem — myślą młodzi „promieniowcy”. Oczywiście, że „promieniowcy”, bo właśnie rozwija się we Lwowie ruch socjalistyczny, ale i z nim niesposób się żyć. Nie jest wprawdzie nudny, ale „bluźnierczy”. Uderza właśnie w pierwsze zachwyty i porwy młodych: w teatr Pawlikowskiego, w zaczarowane koło sceny. Młodzi wracają przeto do tradycji.

¹ STANISŁAW WASYLEWSKI: *Niezapisany stan służby*. Wyd. J. Przeworskiego. Warszawa 1937. Str. 238.

Rosną w kulcie wielkości. Czczą Słowackiego i Wyspiańskiego, toczą atramentowe wojny z Hellerem „kasowym” dyrektorem teatru. „Cyganią” z aktorami: Adwentowiczem, Jaraczem i inn., zbierają piosenki batiarów do lwowskiego Balonika, rzucają na gród nadpeltwiański pisma wyszydzące, jak *Satyrikon*, *Szczutek*, dosługują się rang pisarzy, poetów. (Wasylewski sypie nazwiskami jak z rogu obfitości). Piszą w ówczesnym Lwowie: Irzykowskiej, Nalkowska, Bandrowski, Staffowie (Leopold i Ludwik Maria),

Zbierzchowski, Maykowski i wielu, wielu innych. Jakaż szkoda, że znakomitej większości nazwisk nie dopełnia żadna charakterystyka. Bo same one mówią niewiele. Dopiero, gdyby Wasylewski zajrzał np. do rękopisów autorów, których drukował „pod kreską” i odsłonił nam ich zawartość, pozór dawnego Lwowa ustąpiłby jego rzeczywistości i głębiom obrazowi. Ale wówczas musiałby autor realizować ambitniejszy zamiar, niż „to co pamiętam”. Skoro jednak nie zechciał, cieszymy się tym, co jest: wszak już

ten indeks nazwisk i tytułów, masa anegdot i strzępków biograficznych stanowi lekturę oryginalną i pasjonującą.

II

Innego typu publikację reprezentują *Gawędy a Warszawie* Franciszka Galińskiego. Literacki tytuł kłóci się nieco z zawartością książki. Jest to bowiem zbiór nie gawęd, ale dziennikarskich artykułów. Przynależność do gazetowego gatunku prozy częściowo rozgrzesza autora rzekomych „gawęd” z szablonością, a miejscami pretensjonalnie upoetycznianego stylu. Wartość tej publikacji leży w całości poza stylem, jest wyłącznie — przedmiotowa. Autor przedstawił w szeregu szkiców historię architektury Warszawy. Więcej nawet, cała przeszłość jej murów została utrwalona na kartach książki, co z kolei nadaje jej charakter nieocenionego przewodnika po dawnej stolicy.

Nawet nie zainteresowanego przeszłością czytelnika zajmą podane tu informacje. Kto np. wie, że plac Zamkowy został odsłonięty dopiero w r. 1818. Do tego czasu zajmowały go dziedzińce zamkowe: apteczny i stajenny. Albo: że Warszawa miała dwadzieścia ratuszów. Pierwszy z nich stanął na środku rynku Starego Miasta w r. XV. Kto zna historię małych, ciasnych, nierzadko zamurowanych już uliczek, takich jak: Rycerska, Kanonia, Dawna, albo też dawnych winiarni, oberż i restauracji: Pod Lewkiem, Pod Gąsionkiem, Pod Sękami. Taką np. ulicą Pawia (w XVI w. Szykarska) miała typowe znamiona dewocyjno-pijaackie: wiechy, godła winiarni i oberż, chwiał się nad rzeźbami świętych, nad św. Łazarzem i św. Marcinem.

Cukiernie i kawiarnie to już druga połowa XVIII w. Zachwalana „Wiejska Kawa”, „Pod Kopciuszkiem”, a wreszcie słynna „Honoratka”, gdzie gościli Mochnacki, Gószczyński, Wysocki, gdzie episkowy krzyż: „przez z Chłopcikiem, niech żyje dyktator Lelewel!”, „Szalone dni” — Warszawa znalazła dotychczas „pięćców” tylko w marlarzach. Rysunki Fr. Kostrzewskiego i St. Szwajcarskiego (z redu, balu, ogródków, knajp, Alej) wprost dopominają się o dickensowską opowieść. Galiński podaje adresy, gdzie odbywały się maskarady, gdzie tańczono do upadłego — na owych „Złoty Salach”, „Pod trzema Koronami”, i... jego skrzętnie i obfite wyliczenia powinny skusić pisarzy, smakujących w urochach dawnej obyczajowości. Bo materiał w *Gawędach a Warszawie* jest wielostronny, „Kwieciasty maj” wypędził sfery mieszczkańskie do „Lasku na Czystem”, w Aleje Ujazdowskie, które jeszcze do połowy XIX w. stanowiły pasmo ogrodów, w zbiegu Al. Róż i ul. Piusa XI przechodząc w pustkowia, należące do wsi Ujazdów. Elita towarzyszyła warszawskie jeździła na spacer w powozach, faetonach, landach i piętrowych brekach. Najczęściej na Bielany, także na pole wysięgowe lub do ogródków: na Antokol, do Zaczęsa, do Doliny Szwajcarskiej. Tu sprowadzano co rok zza granicy słynne orkiestry.

Z potopu informacji wydobylismy niektóre, bardziej może błyskotliwe, wcale jednak nie cenniejsze od przemilczanych. Pożyteczne są wszystkie — podane starannie i z drobiazgową dokładnością budzą zaufanie, jak rzetelne i wyczerpujące źródło historyczne. Wymowę tej publikacji pogłębia blisko dwadzieście fotografii i rysunków.

A jednak, zamykając książkę Galińskiego, pomyslił może z żalem, że o dawnej Warszawie napisał właściwie jak gdyby jej kustosz, który ograniczył się do inwentaryzacji miejsc, dat, przedmiotów i faktów, który dał wprawdzie wspaniały przewodnik z indeksem rzeczy, ale przecież nie ocenił ich ze stanowiska architekta, plastyka i historyka kultury, wyliczył zbiór tradycji obyczajowych, ale znowu bez komentarzy i uogólniających perspektyw socjologicznych i historycznych. Brak ten jednak nie pozbawia wartości książki Galińskiego. Jego praca odznacza się wyraźnie określonym zakresem. I może przez to właśnie przypomina nam natarczywie o innych, zaniedbanych zakresach badań nad dawną Warszawą — przede wszystkim nad stylem architektury ubiegłych wieków. Wszak wciąż jeszcze pozostaje np. sprawa otwartą chociażby zagadnienie stosunku stylu mieszczańskiego do szlacheckiego w architekturze Warszawy.

JAN ALEKSANDER KRÓL

¹ FRANCISZEK GALIŃSKI: *Gawędy a Warszawie*. Wyd. Biblioteka Polska. Warszawa 1937. Str. 376.

JÓZEF WEYSSENHOFF

WENERA CONTRA CHMIELNICKI I TUHAJ-BEJ

Zapomnianą dziś nieco postać piewcy ostatnich bodaj połowań na Litwie przywoździ żywo na myśl obecna wystawa „Lwów w sztuce”, zorganizowana przez Zachętę i Polski Związek Łowiecki. Józef Weyszenhoff, namiętny myśliwy, b. prezes Towarzystwa Zachęty do Sztuk Pięknych w latach 1893—1896, powinien patronować zbiorom, które w łwiej części są ilustracją myśliwskich wypraw z *Sobola i Panny* i „podkradów” z *Puszcz*.

W niedrukowanych dotąd, z wielu względów artystycznych pamiętnikach Weyszenhoffa kilka kartek poświęconych jest wspomnieniom z tego czasu. A był to okres dla Weyszenhoffa bardzo szczęśliwy. Obudzony z „śnuśnego uśpienia” dotychczasowego „wesolego życia” przez Ludwika Gorskigo, który przy pomocy Weyszenhoffa postanowił zgłanzować zamierające u progu pięćdziesięciolecia istnienia najstarsze polskie pismo miesięczne *Bibliotekę Warszawską* — zabrat się autor sławetnego *Żywota i myśli Zygmunta Rodzińskiego* do niełatwego zadania wydzignięcia miesięcznika z upadku z wielkim zapałem. „Nie śmiałem nazwać tego pomysłu (t. j. wyboru na wydawcę i redaktora *Biblioteki*) genialnym, skoro mnie dotyczył — był jednak niepospolity z tego względu, że ja miałem wtedy zaledwie w gronie bliźszych znajomych reputację zdolności literackich, przez żaden druk jeszcze nie potwierdzoną. Pomysł okazał się w każdym razie szczęśliwym — dla pisma i dla mnie”.

Na te lata przypada również zacieśnienie przyjaźni z Dionizym Henkiem, którego, po objęciu kierownictwa *Biblioteki*, postarał się Weyszenhoff pozyskać na współpracownika i z którym znajomość, według wyrażenia samego Weyszenhoffa, starczyła pisarzowi za „kurs uniwersytecki sztuki pisarskiej”. „...redagowanie *Biblioteki*, a zwłaszcza codzienne niemałe przyjazne stosunki z Henkiem dawały mi sporo zadowolenia szlachetnych, skierowały moje myśli i zdolności na właściwe tory. Obudziły się we mnie uśpięne ambicje literackie; przychodziły mi wreszcie do głowy wyższe pomysły. Najszczęśliwszym z tych pomysłów była podróż do Grecji, odbyta w jesieni 1891 r.”. „Nigdy w życiu nie wchłaniałem nauki z taką rozkoszą, nie nauczyłem się tyle w krótkim czasie, jak podczas samotnej wędrówki po ruinach Grecji”.

Właśnie po tym ożywym zastrzyku podniosłej atmosfery hellenickiej, w której dokonał się literacki chrzest Weyszenhoffa, odrodzonego, pełen artystycznych natchnień, zabrat się pisarz do urzędowania w sztuce projektów. Jednak bujne życie towarzyskie, ponęty salonów i Klubu Myśliwskiego znowu zaczęły go opływać nieodpartym czarom i odrwać serce od artystycznych zamierzeń. „Częścią szlachetną moich zajęć pozostało w dalszym ciągu redagowanie *Biblioteki Warszawskiej*, a następnie czynności w Towarzystwie Zachęty do Sztuk Pięknych, którego w r. 1893 zostałem wiceprezesem, czyli prezesem z wyborów. Prezesem urzędowym był kurator warszawskiego okręgu naukowego, podówczas Apuchtin. Przekleństwo całego pokolenia Polaków spadło na to nazwisko, zarówno jak na Jankulcia, prezesa cenzury”.

Jako redaktor *Biblioteki* i prezes Zachęty walczył Weyszenhoff z jednym i z drugim, jak się pokaże niżej, bardzo skutecznie. Pierwszy przykład: Apuchtin.

IZA KUZMIŃSKA

Miewałem z nim stosunki, jako właściwy kierownik instytucji, której on był z urzędu prezesem i dawałem sobie z nim radę, traktując go pogodnie. Moje wspomnienia o nim są raczej humorystyczne.

Przedstawiłem mu raz do zatwierdzenia reprodukcję obrazu Juliusza Kossaka „Spotkanie Chmielnickiego z Tuha-j-bejem”. Reprodukację przeznaczyliśmy na doroczne premium dla członków Tow. Zachęty. Apuchtin spojrział na przyniesioną przez mnie fotografię jak wół w aptekę. A był to z pozoru niby stary hreczkosiej, niedrażniony przez kulturę miejską. Nie umiał po francusku, po polsku mówić może nie

chciał — trzeba z nim było gadać po rosyjsku. Rozmawialiśmy swobodnie „kurząc sigarki”. Spojrział zatem i chociaż obraz Kossaka wisiał już dawno na wystawie „Zachęty”, zapytał:

— Co to takiego?

— Spotkanie Chmielnickiego z Tuha-j-bejem, epizod z powieści Sienkiewicza.

— Hm... — mruzczał i chrząkał dygnitarz, przejęty swem posłannictwem. I oglądał z niesmakiem kontuzje, orły polskie na sztandarach, aż wystąpił z pomysłem:

— Po co wam zawsze ta treść historyczna (*eti istoriczskie siuzety*)?

— Obraz popularny — podoba się publiczności. — Dlatego wybrałiśmy go na premium.

— Nu tak — ale zawsze historia polska. — Dalibyśmy raz coś ogólniejszego... Daliby wy naprzykład... Wenerę —

— Wenerę??!

— Nu, nie boginię, tak inną piękną kobietę.

— Ależ, panie kuratorze, kogo to obchodzi? I nie mamy odpowiedniego obrazu na wystawie. A ten jest aktualny z każdego względu: jako dzieło Kossaka i jako ilustracja do bardzo sławnej książki.

— Jaka to książka?

— „Potop” Sienkiewicza.

— Wot kak... bądź pan tak uprzejmy i przysył mi tę książkę.

Posłałem mu „Potop” zakreśliwszy w nim parę niewinnych ustępów. Apuchtin przekonany pozwolił na reprodukcję obrazu Kossaka.

Podobno ten bajeczny kurator, który w r. 1893 nie znał jeszcze Sienkiewicza i nie obejrzał obrazów wystawionych w gmachu instytucji, której niby przewodniczył — był z mojego urzędowania zadowolony. Od kogoś z jego otoczenia dowiedziałem się, jak się o mnie wyrażał:

— Teraz Zachęta idzie prawidłowo. Ot pierwiej był Wrotnowski, któremu ja zaleciłem ustąpić. Teraz wiceprezesem Weyszenhoff, jakiś Niemiec — nie sobie — człowiek spokojny.

Moja „spokojność” była dość powierchowa, gdyż zaraz na wstępie urzędowania zaskarżyłem postanowienie Apuchtina do ministra oświaty Delianowa. Wytlumaczyłem zaś Apuchtinowi, że inaczej postąpić nie mogłem, gdyż z takim mandatem imperatywnym przyjąłem wybór na wiceprezesa przez ogólne zebranie członków Towarzystwa. Zatargi Apuchtina z Lucjanem Wrotnowskim, moim poprzednikiem, doprowadziły Apuchtina do „przyjęcia miar”: usunął Wrotnowskiego i wydal edykt, w którym przyznawał sobie prawo zatwierdzania lub odrzucania członków zarządu wybranych przez ogólne zebranie. Ponieważ ta innowacja sprzeciwiała się wyraźnie ustawie Towarzystwa, zaskarżyłem Apuchtina do jego władzy wyższej i pojechałem do Petersburga, aby osobiście oświetlić zatarg przed ministrem Delianowem, co mi mój kolega dorpacki Karol Czapski przez swe stosunki ułatwił. Apuchtin wiedział o tem, ale nie rozniewiał się na mnie, ponieważ byłem spokojny, czyli towarzysko gładki. Proces zaś, przeze mnie raz zaczęty z kuratorem, chociaż trwał długo, został przez Towarzystwo wygrany.

JÓZEF WEYSSENHOFF

KAROL IRZYKOWSKI

PRZEMIANY ALTRUIZMU

Autorka tego zbioru nowel i opowiadań¹ wystąpiła w zeszłym roku z powieścią (*Miłość i praca*), o której pisałem w *Pionie*. Powieść była jeszcze nie dociągnięta, ale te rzeczy drobniejsze stoją na wysokim poziomie i koncepcji i wykonania. Urozmaicenie tematów jest wielkie, stylu — mniejsze, jednak owe rozmaitości nie są rozprószeniem, lecz poszukiwaniem drogi, która — jak się zdaje, i jak to odpowiada nowemu duchowi czasu — prowadzi od bezstrasznego cieżenia się barwnymi kształtami życia do zainteresowania się zagadkami psychologicznymi i filozoficznymi, od opisu do myśli.

Z tego, dawniejszego, zapewne, repertuaru dwie nowele szczególnie się wybijają: *Klusownik i Ogień*, opiewające grzeszną a namiętną miłość, której scenariusz są pola zarosłe lubinem lub stajnią. W *Klusowniku* gorący i ukradkowy czyn kontrastuje doskonale ze spokojnym krajobrazem wsiowym, np. wieczornym, kiedy to krowy wracają do domu, — kontrastuje i rozplywa się w nim, jak na obrazie impresjonistycznym. W ogóle tym, co Dąbrowska naprawdę i niezawodnie umie, jest spostrzeżenie i nazywanie rzeczy zmysłowych, odczonenych, w ich statyce, — jest sensualistką. Dlatego najbardziej udanymi utworami w tym zbioru są *Podwójna droga* i *Studnia*. Pierwszy opisuje jazdę saniami w zimie, przepłatana wciąż rozpamiętowaniami miłosnymi, w ten sposób, że przyroda służy za konfrontację i za symbol uczuć; np.: „Piękność tego lasu przechodziła nieuczucie jak dźwięk. Istniała jednolitwie, radość oczu, i mijala jak szczęście naszej miłości”. Albo: „Tam to ciemną cyną leżał potok i nad nim stał samotny dom — jak ten dom, któryśmy nigdy opuścili, aby się rozstać”. Użycie kursywy w tekście podkreśla te węzłowe miejsca niby refren, — jest to budowa liryczna, dlatego nazywam całość nie nowelą lecz utworem. *Studnia* opisuje oczekiwanie wsi jugosłowiańskiej wśród posuchy na deszcz, który ostatecznie przychodzi. Z niby-reportażu robi się piękny utwór, w którym spokojnie i naturalnie narasta nastrój i rozkłada się w deszczem, niby konsekwencją ukrytą w założeniu. Do mistrzostwa brak temu utworowi przecięt jakiegóż kropki nad i; może zbyt szczegółów, które się tylko widzi, przyniata samą dynamikę zdarzenia.

Bardziej anegdotyczny charakter mają nowele *Podczas choroby*, *Dzwonek śmierci*, *Szofer i pan oraz Cudza śmierć* — te dwie ostatnie z motywem homoseksualnym, podany nie tak jak to robi Zweig, lecz z iwaszkiewiczowską dyskrecją. Ale bo też wcale nie strona seksualna wypadków zajmuje autorkę, traktuje ona takie stosunki między mężczyznami jako coś normalnego, natomiast np. w *Cudzej śmierci* odbiera sobie zadanie inne, sztuczne i niemożliwe. Rzecz jest taka. Jest małżeństwo, Hieronim i Ludwika, ale Hieronim ma kochankę czy stosunek z jakimś tajemniczym brązowym mężczyzną; ofiarą ich pada Ludwika, zamordowana przez jednego z nich lub przez obu. Wszystkie te wypadki obserwuje jakiś „ja” kochający się w Ludwice, jednak nie usiłuje im zapobiec, jest fatalistą, — natomiast chce być niejako świadomością faktów, które się przed nim rozgrywają, więc: „Jeżeli ona umrze, ja wziem mękę kochanki”. „Ja mam w udziale to, co jest świadomością wobec tamtej strasznej rzeczy, — postawę. Czy to nie jest większy trud niż po prostu umrzeć”. I tak dalej, aż w końcu: „Obarczony zostałem trudem zgody na ten fakt, że ktoś może umrzeć, przestać być”. Bardzo wygodny i zrozumiały jest ten języczek: inni umierają, a on robi do tego „postawę”. Strasznie zakonspirowane jest tu wszystko, niczym Awangarda, choć o niezrozumiałym nie ma mowy. Wynurzają się różne odsyłacze, jak słowo „tamtam”, i do innych utworów także przechodzi jako nalogowe już tajemniczenie, czy metafizyczenie.

Jest pewna amoralność w zachowaniu się owego „ja” z *Cudzej śmierci*. Trzeba oczywiście rozróżnić: amoralność, nie antymoralność. Autorka ma w tej amoralności pewien udział, przesuwając akcent z kryminalnej niejako strony zdarzenia na uczuciową, na sentymenty i kombinacje myślowe opowiadającego. W kobiecych pisaninach taka obojętność często się trafia i to się wiąże z ich filantropią. Tak jest np. w Nalkowskiej *Ścianach świata*, *Dniu jego porotetu* — zbyt niska pobłażliwość, *désintéres-*

sement wobec grzechu. Mężczyzna pisze inaczej; nawet gdy jest „immoralistą” jeszcze jest moralizatorem, bo jednak, mimo wszystko, on chce świat jakoś urządzić, zmienić. Kobieta pisząca albo wyczuwa albo smakuje, estetyzuje. Oczywiście jest między obu sposobami pewna wspólna platforma: gdy chodzi o zrozumienie grzechu, wczucie się weń, ale i wtedy cel męski jest inny niż kobiecy.

Tu przechodzę do dużej grupy nowel Dąbrowskiej, które mają charakter filantropijny, humanitarny. Autorka ta już dawno w tym gatunku pracowała, będąc wówczas pod wpływem Żeromskiego, więc na pierwszym planie stawiała altruizm, litość społeczną. Lituje się nad biedakami, wspierając ich, bo oni są... biedni. Nowe nowele Dąbrowskiej z tego działu nie są już biedackie, „klasowe”, są studiami, psychologicznymi, socjalnymi. *Robot* opisuje los doskonale, pedantycznej urzędniczki, którą zredukowano, po czym się otruli. Myślałby kto: wiemy, to wina „ustroju”. Autorka nie obwinia jednak ustroju, raczej jeździ w ogóle kogo obwinia, to ją samą, tę nieszczęsną, która się pyszniła, że jest dobrą maszyną. Ciekawe. Niegdyś Danilowski napisał podobne studium *Pan Zaba*, nowela Dąbrowskiej jest okrutniejsza. Na tragedie ludzi porządnych nie pomoże żaden ustrój. Inne studium *Ta druga* (podtytuł skromny: reportaż psychologiczny) analizuje charakter ubogiej grafomanki, która dla dogodzenia swej ambicji dochodzi do kłamstw do oszustw, do kradzieży, i dostaje się do więzienia. Refleksje autorki: „Le tragizm w powołaniu — bez talentu... Jakże osztać tak wypaczoną a jednak boską potrzebę, żeby być kimś lepszym, większym nad siebie samą?”. Litość wyrażona, bo jednak grafomania nie musi doprowadzać do przestępstw. I jeszcze raz zastanawia się autorka nad zagadnieniem winy w studium *Kim ona była?* — czy Władzia była dobrą, miłą, kochaną przez wszystkich dziewczynką, czy złodziejką. Czy to altruistyczne w dawnym stylu jest *Nad rzeką* — i tu jak w poprzednio wymienionych nowelkach rozstrzygającym faktem jest bezradność sytuacji.

Do noweli *Jej Bóg* snadź przywiązuje autorka największe znaczenie, skoro od niej zatytułowała swój zbiorek. Bogata chłopka Pelagia przeżywa niejako ontogeniczne różne sposoby odnoszenia się do Boga, w miarę tego, jak przeżywa szczęścia i nieszczęścia. Wejść ma z nim porachunki. To się jemu poddaje, to jest mu obojętne, to nawet wynosi się ponad niego, gdy czuje się matką, więc również stworzycielką; zawiera z nim pakt, chce go przekupić, żeby narodziła się córka, lub żeby dziecko zdrowiało, zlorzeczy mu za niesprawiedliwość, gardzi jego wszechmocą, przypisuje mu straszliwą obojętność, aż w końcu po wymarciu podczas wojny całego potomstwa, po katastrofach, jako żebraczka, uznaje Boga zrezygnowanego, poddającego się pod niebadane losy, Boga w postaci tego kryzysu przyrodzonego na skraju wsi, który towarzyszył jej perypetiom religijnym przez całe życie. To jest bardzo dobrze pomyślane, a jednak w wykonaniu czegoś brakuje; czy że przemiany Pelagii są zbyt liczne i zbyt schematyczne, czy że się nie wierzy w takie jej filozofowanie, czy że strona rozumowa wysuwa się na pierwszy plan.

KAROL IRZYKOWSKI

UKSIĘGARZY

Ruchliwa księgarnia wydawnicza p. f. „Rój” rozpoczyna sezon jesienny całym szeregiem nowych książek. Oto najważniejsze pozycje:

W serii pisarzy polskich ukazują się następujące dzieła: Marii Kuncewiczowej *Dni przeszłości państwa Kowalskich* (powieść radiowa), Poli Gojawczyńskiej nowela pod tytułem *Dwoje ludzi*, Sergiusza Piaseckiego nowa powieść *Piąty etap*, wreszcie niesamowita historia powtórnego przynusowego dzieciństwa, opisana przez naszego rodzimego E. T. A. Hoffmana, Gombrowicza, pod tytułem *Ferdydurke*.

Z wydawnictw niebeletrystycznych za notować należy przede wszystkim pracę znakomitego znawcy dawnego romansu polskiego, prof. Juliana Krzyżanowskiego, zatytułowaną *Od średniowiecza do baroku*.

Poza tym ukazują się: Mariana Piechala *rzecz o Norwidzie*, prof. Jana Bystronia *Łańcuch szczęścia*, wreszcie Strachey'a bio-

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

„NAUKA POLSKA”

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. XXII. Wydawnictwo Kasy imienia Mianowskiego, Instytutu popierania nauki. Warszawa 1937. Str. IX, 433 i 4 nłb.

„W nasze życie nowoczesne, bogate, nieokielznane, żywołowe, musi wejść ścisła nauka, jako regulator i kierownik. Ona to jedynie może nam dopomóc, abeyśmy z miągi bujnej, lecz złupionej przez najeźdźców, starganej przez złą uprawę, sponiewieranej przez jawną głupotę, skłóconej o hyle co lub nagim ugiem leżącej, mogli rozpocząć planowe budowanie nowej treści wewnętrznej, nowej szerokości i bujności ducha, świadomej, czysto narodowej, własnej, na najlepszych i niewątpliwych osnutęj doświadczeniach, które nasz naród już posiadał i z jej pomocą jedynie zdołamy nowe odnaleźć. W wolnym państwie polskim nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, przemycana, musi być polska. Nauka — to przeczyste, wysokie jezioro w górach, niebiosza nieskończoności odbijające, musi być nasze, własne, ojczyste.” Te słowa Stefana Żeromskiego, które ten wielki poeta kultury sformułował dla Kasy im. Mianowskiego, z najlepszym też uzasadnieniem mogłyby być użyte jako motto tytułowe czasopisma *Nauka Polska*, wydawanego nieprerodownie od roku 1918 pod redakcją Stanisława Michalskiego. Czasopismo to bowiem stało się istotnie twórczym organem polskiej kultury naukowej. I właśnie ten jego wybitnie twórczy charakter sprawia, że zaciekawia ono nie tylko świat uczonych, których żywotnym zagadnieniem teoretycznym i organizacyjnym jest poświęcone, lecz w równej mierze także szersze koła kulturalne. Każdy nowy tom *Nauki Polskiej* jest doniosłym zdarzeniem wydawniczym, które już nie może być przeoczone przez nikogo, komu są nieobojętne zagadnienia i sprawy kultury umysłowej. Wystarczy się zapoznać chociażby z jednym tomem tego wydawnictwa, aby stać się jego stalym i pilnym czytelnikiem.

Dział rozpraw XXII tomu *Nauki Polskiej* rozpoczyna rzecz Stanisława Ossowskiego: *Nauki humanistyczne a ideologia społeczna*. Nawigując do rozprawy Bogdana Suchodolskiego: *Badanie i nauczanie*, zamieszczony w poprzednim tomie *Nauki Polskiej* (obecnie przedrukowanej w tomie p. t. *Uspołecznienie kultury*), Ossowski zajął się zagadnieniem zależności pomiędzy tendencjami społecznymi a pracą naukową humanisty. Rozróżniając cztery zasadnicze postawy badacza wobec nauki: estetyczną, utylitarną, perfekcjonistyczną i religijną, zastanawia się obszerniej nad postawą utylitarną, czyli związaną z myślą o pożytku społecznym, przez co postawa uczonego humanisty zbliża się do postawy działacza społecznego. Moment ten występuje zwłaszcza w dziedzinie nomotetycznych nauk o człowieku i społeczeństwie, jak psychologia, socjologia, antropologia społeczna i ekonomia polityczna. Zdarza się nawet, iż „rozróżnienie pomiędzy badaczem i działaczem jest trudne do przeprowadzenia nie tylko ze względu na metody pracy jednego i drugiego, ale przede wszystkim ze względu na postawę psychiczną jednego i drugiego wobec własnych zadań. U wybitnych działaczy społecznych spotykamy aspiracje naukowe, u naukowców — aspiracje społeczne”. Otóż wydaje się, że ten pogląd Ossowskiego, zastosowany przez niego głównie tylko do jednego działu nauk humanistycznych, dalo by się rozszerzyć na inne działy nauki i również na sztukę. Po-

śmiertnie wydana *Prawda życia* J. M. Rozwadowskiego otwiera pod tym względem rozległe i głębokie perspektywy myślowe. W zastosowaniu jednak do tematu omawianej rozprawy Ossowskiego istota zagadnienia tkwi przede wszystkim w typie psychicznym człowieka. Było by więc przedmiotem godnym uwagi typologiczne zbadanie pokrewnych sobie konkretnych osobowości twórczych z rozmaitych dziedzin nauki, sztuki i polityki. Badania takie, częściej już zresztą podejmowane, doprowadzić powinny do bardzo istotnych wyników psychologicznych i socjologicznych. Przynieść one też mogą pewne wskazania natury praktycznej w ocenie wzajemnego powiązania przyczyn i skutków pomiędzy typem twórcy w nauce, sztuce lub polityce, a jego dziełem albo czynem.

W dalszym ciągu omawiany tom *Nauki Polskiej* zawiera rozprawę Szczepana Szczepanowskiego: *Wpływ fizyki na rozwój kultury dzisiejszej*. Uwydatniona ta została ważna rola nauk ścisłych, a zwłaszcza fizyki, w kształtowaniu się nowoczesnego poglądu na świat.

Doniosłe znaczenie „życiowe” mają uwagi Jana Rutkowskiego: *O podniesienie poziomu naszej twórczości naukowej*. Autor wskazuje ujemne cechy twórczości naukowej w tak nazwanym kryzysie nadmiaru, będącym jednocześnie kryzysem jakości, i stanowczo występuje przeciw inflacji tandety. Jest to ostrzeżenie, które w chwili obecnej stało się szczególnie aktualne. Aby należycie docenić powagę położenia, wystarczy choć pobieżnie rozrzeć się w treści naszej produkcji naukowo-wydawniczej. Iść to np. niepotrzebnie zadrukowanego papieru zużywa się na rozmaite prace magisterskie itp., z których ledwo niektóre powinny być publikowane w całości, znaczna zaś ich większość zasługuje na uwagę co najwyżej w krótkich streszczeniach. Tymczasem często się zdarza, że skąpe środki finansowe bywają marnowane na publikacje zbyteczne, zadawające tylko ambicje autorskie, a pomnażające stosy makulatury. Toteż powołane do tego czynnikowi powinny zwrócić baczną uwagę na dalej zresztą zmierzające wnioski prof. Rutkowskiego, który środki zaradcze na usunięcie zakorzenionych już błędów wskazuje w odpowiedniej polityce celowej i racjonalnie zorganizowanych instytucyj naukowych.

Dział rozpraw XXII tomu *Nauki Polskiej* dopełniają: zwięzła praca monograficzna Marii Danilewiczowej: *Życie naukowe dawnego liceum krzemienieckiego*, artykuły Stefana Stasiaka: *Nieco o nauce indyjskiej dawniej i dziś* i Artura Górskiego: *Nauka niemiecka* (na marginesie odczytu Kurta Hildebrandta). Szersze zainteresowanie budzi zwłaszcza artykuł Górskiego, zakończony takim wnioskiem: „Bez wewnętrznego stosunku do narodowej woli duchowej można napisać sumienne metodyczne dzieło dziś o Reju, a potem o Buddzie, a jednak będą to utwory, mimo erudycji, martwe, chłodne, zdezorientowane i deorientujące. Te proste, jasne i ważne prawdy domagają się i u nas szacunku. Powiedźmy wyraźniej: zwłaszcza u nas, — od uniwersytetów poczynając”.

W obszernej kronice polskiej odrębnej uwagę zwraca artykuł prof. Michała Śledzieckiego: *Potrzeby nauki polskiej w zakresie badań morza*. Kronika zagraniczna dokładnie informuje o bieżących zagadnieniach życia naukowego w Europie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej: „Osobno omówiono „poczynania międzynarodowe”. Bogaty, jak zwykle, dział recenzyjny przynosi rzeczowe wiadomości krytyczne o wydawnictwach polskich i obcych z zakresu teorii i ruchu naukoznawczego. Pokazny a treściwą swoją żywo zaciekawiający tom zamyka ciąg dalszy bibliografii nauki polskiej za lata 1932—1934. Z tego powodu nasuwa się deziderat, aby dział bibliograficzny *Nauki Polskiej*, chociażby kosztem pewnych ograniczeń, był doprowadzany stale do końca roku poprzedzającego rok wydania danego tomu. Zyskałaby na tym wiele podręczna użyteczność tego bardzo potrzebnego działu.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Odpowiedzi Redakcji

Godło „Morwan” — Nowela pt. *Drut* została zakwalifikowana do drugiego czytania.

Godło „Jacek” — Nowela pt. *Ostatnia porażka* została zakwalifikowana do drugiego czytania z warunkiem nadesłania do dn. 20 września zaklejonej koperty opatrzonej godłem a zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autora. W przeciwnym razie nowela zostanie wyeliminowana z konkursu.

¹ HALINA MARIA DĄBROWSKA: *Jej Bóg*. Warszawa, 1937. Nakładem F. Hoiesicka.

PRZEGLĄD PRASY

PAŁKA NA DRĄGI OBURZONA

Bajka bardzo przejrzysta

Ostatni numer czasopisma *Muzyka polska* (zeszyt VII—VIII, za lipiec i sierpień b. r.) wydawanego przez Towarzystwo Wydawnicze *Muzyki Polskiej* poświęcony jest zagadnieniom muzyki współczesnej. Dr. J. M. Chomiński przedstawia ewolucję współczesnej harmoniki; K. Régamey charakteryzuje dążenia artystyczne naszych kompozytorów na tle prądów europejskich; J. Walldorf pisze o problemie słuchacza; S. Kisielewski próbuje określić współczesny, rodzący się styl muzyczny; A. Panufnik ogłasza refleksje i uwagi n. t. zagadnienia abstrakcji w muzyce współczesnej. W końcu Michał Kondracki zdaje szczegółowe sprawozdanie z porocznych festiwalów muzycznych w Paryżu.

Ten zeszyt *Muzyki polskiej* stanowi niezwykle zajmującą i pouczającą lekturę nie tylko dla muzykologów, muzyków i miłośników tej szlachetnej sztuki, lecz dla każdego, kto pragnie poznać dążenia artystyczne doby obecnej, uchwycić jakiś ład, jakieś prawo w rozproszonych wysilkach działających współcześnie, a nie o sobie wzajemnie wiedzących jednostek i grup. Tak np. Konstanty Régamey w swym studium *Muzyka polska na tle współczesnych prądów* wskazuje na doniosły wpływ Szymanowskiego (antyromantyzm, silny związek z prądami nowoczesnymi, wprowadzanie folkloru) i Paryża (tu analogie z malarstwem, mniejsze z poezją). Francuzi za pośrednictwem Szymanowskiego nauczyli muzyków polskich szacunku dla doskonałego „rzemiosła muzycznego”: „takiego opanowania techniki muzycznej, by osiągnąć kolorystykę i przejrzystość brzmienia, jasność konstrukcji, nieskazitelność budowy polifonicznej z zupełną swobodą, by umiejętności te nie obciążały utworu, nie wydstawiały się na pierwszy plan, ale były całkiem naturalne i niewymuszone”. Młodzi muzycy polscy płyną między Scyllą bezdusznego neoklasycyzmu a Charybdą zabarwionej mistycznie pseudo-sztuki, sięgającej do „praźródła rasy i duszy. Rzecz znamienna, że w poezji polskiej konflikt ten trwa z niewygasłą siłą (autentyzm — parnasowski europeizm); w muzyce natomiast dzięki wpływom Szymanowskiego i Paryża niebezpieczeństwa są już wyminięte, i w niektórych utworach („Poemat żalobny” Woytowicza, „Kwartet” Palestra, „Koncert na dwa fortepiany” Maciejewskiego) zarysowuje się, zdaniem Régameya, nowy, samistny styl polski.

Miesięcznik lubelski *Prąd* w systematyczny sposób zapoznaje nas z reprezentacyjnymi postaciami współczesnej kultury francuskiej. Referowali już na tym miejscu ogłoszona na jego łamach dyskusja o Mauriaku i studium J. Dobrzyńskiego o Bernanosie, które ukazało się również w odbite. Ostatni, podwójny zeszyt *Prądu* (za lipiec—sierpień b. r.) przynosi dwie dalsze prace z tego zakresu. W pierwszej Helena Radziukińska charakteryzuje poglądy P. Valéry'ego na sztukę, posługując się obficie cytatami z pism autora *Młodej Parki*. Niektóre cytaty są bardzo ładne; np. o tancerce: „Zdaje się żyć zupełnie swobodnie w elemencie podobnym do ognia, w żywiole bardzo subtelnym muzyki i ruchu, w którym oddycha niewyczerpalną energią, podkreślając jednocześnie całą swoją istotą czystą i bezpośrednią gwałtowność najwyższego szczęścia”. Inne są nawet głębokie i mądre; np. szczyt sztuki: „chodzić naturalnie na szczyty, jak się osiągnęło”. Albo: „Pragnienie prostoty w sztuce staje się zabójcze za wszelkie, kiedy uważa się za dostateczne i kusi nas do uwolnienia się od jakichś trudności”.

W tymże numerze, na dalszym miejscu, autor, osłaniający się inicjałami M. K., charakteryzuje „rolę mistycyzmu w dziejach ludzkości według Bergsona”. Artykuł ten jest referatem z przedostatniej, znanej książki francuskiego filozofa o „dwóch źródłach religii i moralności”. Przeciwestawia w niej Bergson religii „zimnej i statycznej” religię „dynamiczną”. Tę wiarę wyznaje „duża otwarta”, nie zasklepiająca się w granicach izolowanego „ja”, lecz w akcie miłości mistycznej obejmująca całą ludzkość jednym niepodzielnym umiłowaniem”. Przez proste rozszerzenie sfery działania jednostka nie jest zdolna do ukochania wszystkich ludzi — co najwyższej rodziny i swojej społeczności. Tylko w doświadczeniu mistycznym przez Boga może człowiek wnieść się na wyżyny tej uniwersalnej miłości.

Autor artykułu krytykuje stanowisko Bergsona ze stanowiska prawowierne katolickiego; przypisyuje jednak autorowi *Les deux sources* wielkie znaczenie, genialność równorzędną genialności Platona, Arystotelesa i Kanta.

Nowy zeszyt *Przełomu Współczesnego*, za sierpień i wrzesień, przedstawia wielki, blisko trzystustronicowy tom dużego formatu. Czytając go odzywamy daleką podróż w czasie i przestrzeni: ze starożytnej Grecji poprzez szekspirowską Anglię do Bośni i przedwojennej Galicji, gdzie wierzymy znajomości z bardzo ciekawą postacią polityka i społecznika Mikołaja Zyblikiewicza (w pięćdziesiąt rocznicę jego śmierci). Na pierwszym miejscu bogatego zbioru wydrukowano słusznie dwa piękne listy Orzeszkowej. Oba pochodzą z roku 1905, z czasów rewolucji, w której odgłosy stara już pisarka, żyjąca wówczas w Grodnie w zupełnym prawie osamotnieniu, wsłuchiwała się z lękiem i niepokojem.

Miłośnikom Prousta, których obecnie jest w Polsce wielu, trzeba zwrócić uwagę na piękny portret psychologiczny tego pisarza, który nakreśliła w *Przełomie* Józefa Kowalska. Miłośnicy Szekspira zaś z niemalym zainteresowaniem i korzyścią przeczytają obszerne sprawozdanie prof. Andrzeja Tretiaka z literatury szekspirowskiej ostatnich lat. Prezentuje się ona bardzo bogato pod względem ilościowym, ale obfituje głównie w dziwactwa. Kierunek historyczno-socjologiczny, traktujący Szekspira jako „literata”, pracującego dla „swojej” publiczności i do jej wymagań się stosującego, utracił stanowisko kierownicze; obecnie krytycy wolą opowiadać swoje wrażenia z lektury i snuć oryginalne, czasem aż nazbyt oryginalne pomysły interpretacyjne. Taki J. M. Murry uprawia dość grubą psychologizm; twierdzi np., iż budowanie domu w *Henryku IV* związane jest z kupnem domu w Stratfordzie; blazen z *Wieczoru trzech królów* to sam poeta, niezadowolony ze swego stanu i t. d. i t. d.

Poza sprawozdaniem i krytyką artykuł prof. Tretiaka przynosi też refleksje osobiste autora, rzucane na marginesie, a niekiedy bardzo głębokie i piękne. Np.: „W ogóle *Hamlet* to apogeuem sztuki aktorskiej. Aktorstwo, — czynność, która nie jest czynnością, a tylko gestem, — jest najdokładniejszym *pendantem* do „nieczynności *Hamleta*” przedstawianej przez działanie (naturalnie sceniczne), działanie, które zawiera w sobie element udawania i to nie udawania innej osoby, ale innego stanu swej własnej indywidualności — i dalej jeszcze — udawania, które przestaje być udawaniem, a jest rzeczywistością innego stanu apercypującego rzeczywistość swojską”. Dlatego *Hamlet* jest ulubioną rolą wielkich aktorów.

Wielbiciele prof. Chwistka cieszą się z jego ostatniego artykułu o „kulcie geniuszów” (bardzo ostro krytykującego ten kult), napisanego z wielką werwą i tą jego szczególną nonszalancją w przewracaniu konwencjonalnych perspektyw historycznych, która wywołuje przyjemny lekki zawrót głowy czytelnika.

Zgodnie z przewidywaniami, wypowiedzianymi na tym miejscu, artykuł Hieronima Michalskiego o potrzebie stworzenia nowej antologii naszej poezji współczesnej nie przeszedł bez echa. W *Czasie* z dnia 5 września zabrął głos w tej sprawie Ludwik Fryde, polemizując w wielu punktach z Michalskim. Fryde wysunął koncepcję antologii, różnej od pospolitego typu kompendiów historyczno-informacyjnych: „antologii jako surowego obrachunku, antologii — jako sądu”. „Nowa postawa wobec kultury zmienia gruntownie perspektywę zjawisk literackich: uchwycić tę nową perspektywę i stając na zdecydowanym i mocnym stanowisku ideowym pokazać na różnych planach etapy rozwoju poezji w latach 1918 do 1938 — oto zadanie godne krytyki wależącej”.

Dyskusja na tak interesujący i żywy temat zapewne się jeszcze rozwinie. Tu chcielibyśmy jeszcze zwrócić uwagę na zajmujący pomysł praktyczny Frydego. „*Niechaj Państwo Wydawnictwo Książek Szkolnych rozpocznie konkurs na projekt antologii współczesnej poezji polskiej*. Projekty najlepsze będą mogły być wyzyskane w całości lub w części”. Pomysł godny wypróbowania.

W pewnym wytwornym ogrodzie wyrosła pałka. Zrazu niezdarne i niezgrabne, rychło pokryła się bujnym listowiem. Kto raz dotknął się jej listeczków, przekonywał się, że klują one jadowicie i napastliwie, lepiej więc było pałkę z daleka obchodzić w nadziei, że niezaczepiana może się ustakuje. Działo się inaczej. Osmielona pałka pokrywała się coraz nowymi i coraz gęstszymi liśćmi, których imiona były rozmaite. Najczęściej: napastliwość, brutalność, arogancja, tupet, naśladowanie, arbitralność, grubszdobór słów, wszechwiedza dowcipu, nietykliwość własna, przekonanie o głupocie wszystkich prócz kilku kwiatków z prywatnego ogrodu pałki, i bardzo wiele innych listeczków, które nie posiadały wprawdzie osobnych nazw, ale w swoim zakroju tylko na palce obserwowane były przez ogrodników.

W kraju, gdzie kwitł ogród pałki, znajdowały się również inne ogródki. W tych ogródkach zakielkowały małe, malenkawe drążki. Nieśmiało, zrazu tylko listkiem pewności siebie i nadrabianiami miną okryte. Mijały lata i z drążków zaczęły wyrastać wielkie i pospolite drągi. Co ciekawe, drągi zaczęły się pokrywać liśćmi bardzo podobnymi, nieraz całkiem takimi samymi, jak pokrycie pałki pierworodnej. Brakło im przeważnie wszechwiedzy dowcipu, ale za to w kompletach zupełnie dorównujących ulistwieniu pałki powyrastały napastliwość, brutalność, arogancja, tupet, naśladowanie, grubszdobór słów, nietykliwość własna.

Drągi bowiem szybko spenetrowały, że pod klującą i dotkliwą szpatą tych listeczków bardzo wiele przemyśleć można sprawek, jakie bez niej byłyby pospolite, nudne, jednostajne. I stało się, że pewnego poranka drągi podrażnione niepoprawnością pałki rzuciły się na nią całym tłumem i uż ją smagać, kluć, dokucać tymi wszystkimi listeczkami, które na drągach z wzorem pałki powyrastały. Oburzona pałka zaczęła wykrzykiwać, że drągi dotkliwie ranią ją li-

steczkami, których monopol sobie wmyślała, zgorzyla się, że takich metod używa się wobec niej, zapomniawszy wśród razów, kogo to drągi naśladowały. Było to widowisko wiele zabawne i wiele pouczające, albowiem pałka używała wówczas mnóstwa kaznodziejskich zdań, że ginie poezja, kultura, ponieważ ginęła jej wolność wymyślania.

Cóż było robić? Pałka tak szpetnie własnymi sposobami pokarana zaczęła z wolna tracić listeczki, którymi ozdobiła się drągi. Musiała to zrobić, ponieważ drągów było zbyt wiele, by pokonała ich bronią, którą drągi nie gorzej od niej władowały. Roniła pałka przyrodzone listeczki tym spokojniej, że w rezerwie zachowała jeden listek, który jej słusznym zdaniem nie był udziałem żadnego z drągów, niesłusznym zaś jej zdaniem rozgrzeszał wybryki pałki. Listek ten zwał się talentem. Żył wówczas wprawdzie pewien siwobrody i lepsze czasy pamiętający ogrodnik, któremu ten listek tkwił kolcem w oku, tak że uporezywie tępił jego nadużywanie, niewiele jednak zdziałał, jako że rosło wówczas zbyt wiele drzew, które pustkę konarów tym listkiem pokrywały.

Lecz pałka zawiodła się w swoich nadziejach. Niebawem okazało się, że listka zwanego talentem nie można odłączyć od listków niesławnych, już dwukrotnie z nazwiska wymienianych. Ze listki te łączą głębsze powinowactwa, aniżeli pałce się wydawało. Ze po prostu talent posiadała pałka tylko w posługiwaniu się tą resztą liści, jaką porzuciła musiała, tak że listek talentem nazwany sechł i marniał w braku towarzyszy. I do tego doszło, że po czasie niejakim z pałki zostały nagie konary, ozdobione jednym jedynym listkiem przekonania o własnym talencie, którym pałka nieśmiało szemrała wśród coraz bujniejszego lasu drągów.

Od tej to, moje dzieci, historii wzięło początek przysłowie, jakie dobrze znać: kto pałką wojuje, ten od drąga ginie.

KAZIMIERZ WYKA

KONKURS „PIONU”

Pierwsze, eliminacyjne, czytanie nowel zostało zakończone. Z nadesłanych na konkurs 975 nowel do drugiego czytania zakwalifikowano około 10%.

Odpowiedzi na pytania w sprawach konkursu udzielać będziemy wyłącznie na łamach „Pionu”. Zapytania należy podpisywać godłem i tytułem noweli a nie nazwiskiem. Informacji listownych ani telefonicznych udzielać nie będziemy.

Poniżej podajemy spis nowel zdyskwalifikowanych, których rękopisy nie zostały dotychczas odebrane. Rękopisy te są do dyspozycji autorów. Przypominamy, że celem odebrania rękopisu należy przesłać do redakcji znaczki na przesyłkę pocztową.

Godło „Abdank” — Tytuł: *O cudzym szczęściu*.

Godło „Grzymala” (p. A. Z. W., Wilno) — Tytuł: 1) *W imieniu prawa*, 2) *Rozbity motocykl*.

Godło „Kanadyjka” (p. Józefa Ch., Chelm Lubelski) — Tytuł: *Spotkanie*.

Godło „Krystyna” (p. Gabriela P., Warszawa) — Bez tytułu.

Godło „Lech” (p. Stefan S., Chelm Lubelski) — Tytuł: *Śmiertelny uścisk*.

Godło „Limba” (p. Genowefa B., Nowogródek) — Tytuł: *Kismet*.

Godło „Müzo” (p. Zofia M., Lwów) — Bez tytułu.

Godło „Rys II” (p. Edmund D., Baranowice) — Tytuł: 1) *Pourót*, 2) *Nędzarz*.

Godło „Ryszard Medewa” (p. Piotr B., Lida?) — Tytuł: *Grzech*.

Godło „Wejdwutasy” (p. Władysław S., Białystok) — Tytuł: *Urlop filologa*.

Godło „Władysław Gederba” (p. Władysław G., Warszawa) — Tytuł: *Wspomnienie*.

Godło „Victoria” (p. P. Z.) — Tytuł: *Bez nazw*.

Tytuł: *As i dziesiątka trefl* (p. Tadeusz T., Dąbrowa Górnicza).

Tytuł: *Ani tu — ani tam* (p. Salomea W., Warszawa).

Tytuł: *Bezrobotny* (p. Jan N., Cyryn).

Tytuł: *Golgota kobiety* (p. Sala D., Rzeszów).

Tytuł: *Jontek-Znajda* (p. Zygmunt G., Gdynia).

Tytuł: *Miłość czy flirt*.

Tytuł: *Ostatni lot* (p. Roman G., Pabianice).

Tytuł: *Paduchowa zagroda* (p. Marta W., Pruszków).

Tytuł: *Strzelec na wsi* (p. Michał B., Skopanie).

Tytuł: *Szczęście* (p. Klemens K., Łobdowo).

Tytuł: *Wahanie* (p. Helena W., Warszawa).

Tytuł: *Zazdrość* (p. Stanisława G.).

Tytuł: *Zmierzch generacji* (p. Gustawa-Stella K., Baranowice).

Tytuł: *Zdeptane róże* (p. Roman Z., Włoszczowa).

Tytuł: *Za cenę życia* (p. L. W., Pruszków).

Nowela bez tytułu, bez godła — zaczynająca się od słów: *Zresztą, Andrzej zawsze* — jakoś dziwnie się zachowywał...

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca